Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

ROK VII NR. 12 (132)
MIESIĘCZNIK POD RED. JERZEGO BRAUNA
PAŹDZIERNIK 1938 R.
CENA 50 GR

Polska w Europie Środkowej

Zacznijmy od cytatu: „kraj nasz leży w centrum geograficznym Europy, w punkcie krzyżowania się dwu przeciwstawnych sobie światów ideowych...". „Polska wraz z ciążącymi ku niej ludami słowiańskimi, bizantyjskimi i bałtyckimi — stanowi dziś nową, potencjalną i naturalną transzę sił dziejowych, zdolną do zastąpienia wyczerpanych moralnie zapaśników...".

To było napisane 27 marca 1932, sześć i pół lat temu, w nrze 1-ym „Zetu", w artykule pt. „Dlaczego?", formułującym nasze Credo ideowe. Potem przyszły niezliczone artykuły, zapowiadające zbliżanie się przełomowego dla Polski okresu, decydującego o jej losach na całe dziesięciolecia. Zacytujmy tylko jeden ustęp z art. „Polska a imperium słowiańskie" z 15 marca 1934 r. („Zet", nr 24, r. II):

„Jakiekolwiek byłyby następstwa wielkiej rozgrywki... Polska wygrać może tę partię tylko na czele narodów słowiańskich, o ile oczywiście zdoła je porwać za sobą i scementować w jeden blok... Gdyby bowiem Rosja sowiecka wyszła z tej walki zwycięsko, to tylko silna Polska na czele fereracji państw słowiańskich i bizantyjskich... zdołałaby się przeciwstawić jej ekspanzji; gdyby na odwrót zatriumfowały Niemcy, to tylko taż sama federacja słowiańska mogłaby zrównoważyć potęgę wojującego pangermanizmu".

Potem znów szereg artykułów takich jak „Dramat w czterech aktach", „O polski system pokoju", „Abecadło polskiej polityki zagranicznej" itp., coraz większy niepokój, że Polska zmarnuje „chwilę osobliwą" swych dziejów, artykuły takie, jak „Wyścig śmiertelny", nacechowane pesymizmem i trwogą, że nikt, ani rząd, ani społeczeństwo nie dostrzega zbliżającej się lawiny wypadków i że zastaną one Polskę nieprzygotowaną do odegrania przeznaczonej jej misji dziejowej.

Wreszcie wyraźne postawienie koncepcji „imperium trzech mórz", w dyskusji zapoczątkowanej kapitalnym artykułem K. L. Konińskiego „Cesarstwo polskie" („Zet", r. V, nr 1, z dn. 1 kwietnia i nr 2 z dn. 15 kwietnia 1936). Teza sformułowana niedwuznacznie:

„Polska ma prawo i obowiązek stać się inicjatorką i trzonem nowego *imperium*, imperium lub rzeszy o trzy morza opartej: o Bałtyk, o Morze Czarne, o Adriatyk. Niech się to imperium, ten blok, ta rzesza nazywa: B.P.A. (Balticum - Pontus - Adria). Ale Polska, a nie kto inny, tylko my, Polska, musimy być jej trzonem...".

I dalej: „tylko więź ideowa, tylko cyrkulacja wspólnych ideałów kultury, może nadać elementom tego bloku prawdziwie pozytywne współżycie i wspólne samopoczucie; i tu znowuż my powołani jesteśmy do inicjatywy ze względu na te szlachetne intencje i myśli, które się w duchu polskim wyjawiły"... „jaki jest lepszy, prostszy, mniej fantastyczny pomysł na bezpieczeństwo Polski, a z Polską razem tej części Europy?"... „wszystkimi siłami należy tu działać, by nie dopuścić do pojawienia się ogromnej, okrążającej nas potęgi...".

Dalsze artykuły rozwijają szczegółowo tę koncepcję. „Polska może i powinna prowadzić politykę neutralnej bariery między Niemcami a Rosją *tylko pod warunkiem stworzenia idei własnej*... Dalsza neutralność nasza ma sens tylko w ramach ofensywy ideowej, czyniącej Polskę przodowniczką Europy Środkowej, przeistoczonej w wielkie imperium federacyjne... Dziś dawna statyczna postać katolicyzmu ustępuje miejsca *dynamicznej*. Bolszewizm i rasizm neopogański podbija świat dlatego, że postulaty i nakazy moralne chrystianizmu nie zostały spełnione w życiu publicznym. Aby wyrugować te złowrogie widma, trzeba podjąć ofensywę apostolstwa Chrystusowego, stworzyć katolicyzm mesjaniczny, czyli posłanniczy, *chrystianizm spełniony...*". Ludność krajów, które by weszły w skład tej formacji dziejowej, dzieliłaby się na rzymską i prawosławną. Otóż kwestia *Unii integralnej* tych dwu kościołów jest treścią rdzenną tej „myśli Bożej", jaką ma Polska zrealizować, wspólnie z narodami imperium. Katolicyzm zachodni i wschodni, jeśli chce ukręcić łeb hydrze neopogańskiego rasizmu z jednej, a bezbożniczego bolszewizmu z drugiej strony, musi się złączyć w jeden żywy, organiczny, zwycięski Kościół Powszechny. Może się to stać tylko na płaszczyźnie chrystianizmu spełnio-

nego, którego doktrynę absolutną ustanawia wrońskizm (mesjanizm polski). I to będzie ten trzeci kościół, oznaczający zwycięstwo Ducha Prawdy na ziemi, Kościół Triumfujący...". „Dziś Czechy p. Benesza budują swoje nadzieje na genewskiej wieży Babel. Ale Babel rozsypuje się i bliska może jest chwila, kiedy „schronieniem opatrznościowym ludzkości" stanie się... *wieża Wawel*" (Jerzy Braun: „O polskie imperium środka", „Zet", nr 3, r. V).

Mniejsza o kwestię ustroju tego imperium, mniejsza o to, czy na Wawelu ma rezydować w przyszłości „cesarz polski" (jak chce K. L. Koniński, w art. „O cesarski pomysł", „Zet", nr 4, r. V), czy też „prezes unii" narodów imperium (J. Braun: „Cesarz czy prezes Unii", „Zet" nr 5, r. V). Są to sprawy o których dziś za wcześnie mówić, gdy się chce pozostać na platformie praktyczno-politycznej. Lepiej porzucić te cytaty i przyjrzeć się obecnej sytuacji w Europie Środkowej, gdzie problem B.P.A. zszedł z dziedziny mitu w dziedzinę konkretnej rzeczywistości prędzej, niż ktokolwiek mógł się tego spodziewać.

Otóż trzeba skonstatować jedno. Nie udało nam się poruszyć opinii publicznej w Polsce wówczas, gdy był jeszcze czas nie dopuścić do Anschlussu i stworzyć „imperium środka" z Austrią jako częścią składową (jak pragnął K. L. Koniński) i z Habsburgiem na Wawelu. Ani rząd nie przewidywał bowiem tak gwałtownego tempa przeobrażeń — co nie dziwota, gdy przeliczył się nawet Mussolini — ani społeczeństwo nie było do takich wysiłków imperialnych ideowo przygotowane. Spóźniliśmy się, nie wysunęliśmy tej idei sami, pozwalając się zdystansować. Większy rozmach i mocniejszy dech miały Niemcy Hitlera. I to jest brutalny, nieodwracalny fakt, z którym musimy się liczyć. Widocznie było niemożliwością odwrócenie czy zatrzymanie biegu wydarzeń przez garstkę ludzi bystrzejszych, w środowisku krótkowzrocznym i pozbawionym wyobraźni historycznej.

Trudno. Nie ma cudów. Można ten fakt opłakać, można go nawet przechorować, ale trzeba się z nim pogodzić. Rzeczą męską jest: przystosować się do zmienionego układu stosunków. Rzeczywistość ma to do siebie, że krzyżuje się w niej i mocuje myśl twórcza (możliwość najlepsza) i fatum (możliwość najgorsza). Sama rzeczywistość jest wypadkową klęsk i sukcesów, rozbija marzenia optymistów ,ale pociesza, tych, co skłonni są popaść w skrajny pesymizm. Trzeba umieć przetwarzać fatum i przerabiać gorsze na lepsze.

Od czasu Anschlussu inicjatywa jest w ręku Niemiec. One wytwarzają prąd, który nas porywa i pcha, za którym iść musimy. Teraz pozostaje nam baczyć, by w tym narzuconym nam ruchu utrzymać kierunek możliwie samodzielny, zgodny z naszym interesem mocarstwowym i z postulatami naszej misji dziejowej. Z drugiej strony zaś musimy budować system zapór, któreby tamto parcie jak najbardziej zahamowały, oddając w nasze ręce choć część inicjatywy.

To się już częściowo stało. Polska „doskoczyła" do nowego systemu sił, przekształcających porządek w Europie Środkowej i wywiera niewątpliwy wpływ na bieg wydarzeń. Wpływ ten jest nieraz może mniejszy, niżby chciała nasza ambicja narodowa i nasze marzenia o „imperium trzech mórz", jednakowoż Polska dotrzymuje dziś kroku Italii i Niemcom, w ich dążeniach do roli decydującej na tym obszarze.

Pochwycenie inicjatywy przez Niemcy ma przy tym pewną dobrą stronę. Mianowicie rząd i społeczeństwo polskie nie było przygotowane do szerzej zakrojonych działań imperiotwórczych w Europie Środkowej. Obecnie zostały do nich zmuszone przez same wypadki, przez wytworzone przez innych „fakty dokonane". Może to tylko „odruch spłoszonej błogości" (że użyję terminu jednego z młodych teoretyków nowej Polski), w każdym razie jednak ruszyliśmy z martwego punktu; co może wywrzeć dobroczynny wpływ na psychikę całego narodu, przyśpieszając i potęgując procesy, które były dopiero w fazie pierwiastkowej.

Gdy poruszaliśmy kwestię B.P.A. w odczytach i wystąpieniach publicznych, spotykaliśmy się zawsze z zarzutem, że koncepcja ta jest nierealna wobec niebywałego spiętrzenia komplikacyj politycznych w rejonie naddunajskim. Wskazywano na zagadnienie węgierskie, na klin sowiecko-czechosłowacki, na niebezpieczeństwo rywalizacji z Rzymem, który nie wpuści Polski na teren swoich wpływów. Odpowiadaliśmy wówczas, że trudności są po to, by je rozwiązywać. „Réalité des choses" rozproszyła te nadmierne obawy. Splot uprościł się znacznie, w miarę aktywizmu czynników śmiałych i zdecydowanych. Klin sowiecki przestał istnieć, sztuczna konstrukcja czechosłowacka rozpadła się, rewindykacje węgierskie okazały się możliwe, a Mussolini nie tylko się na nas nie obraża, lecz przeciwnie, pragnie byśmy zaangażowali się jak najbardziej w problemy Europy Środkowej.

Musimy się teraz do tego przyzwyczaić, że w naszej grze środkowo - europejskiej mamy potężnego kibica: Trzecią Rzeszę, która od czasu do czasu będzie nam karty z rąk wyrywać i narzucać swoje zdanie. Wypadki związały nas z Niemcami i przyjdzie nam wywalczać każdy sukces na tym terenie mądrą polityką i śmiałą postawą, akcentowaniem siły, co do Niemców przemawia plastycznie i co budzi w nich szacunek. Jeśli się oni przekonają naocznie, że bez nas i przeciwko nam nic tu nie zrobią, zmienią jeszcze radykalniej swój stosunek do Polski i będą respektować nasze prawa, co wyjdzie na korzyść im samym.

Co możemy osiągnąć w tej zmodyfikowanej sytuacji, jaka się wytworzyła nad Dunajem, po wkroczeniu Niemiec na tradycyjny szlak historyczny „świętego cesarstwa?" — Otóż upadek Czechosłowacji wzmocnił niewątpliwie Trzecią Rzeszę bez porównania więcej, niż Polskę. W konsekwencji może się on nawet stać wielką naszą klęską, gdyby udało się Niemcom usadowić w Karpatach. Jednakże kataklizm ten sąsiedniego państwa słowiańskiego dał Niemcom tylko połowę szans (możliwość osaczenia nas od południa), natomiast drugą połowę zarezerwował dla nas, bo otworzył nam drogę nad Dunaj.

Teraz najpilniejszą i decydującą sprawą jest uzyskanie wspólnej granicy z Węgrami. Nasza polityka zagraniczna przejawia dużą ruchliwość w dążeniu do rozwiązania tego problemu, nader delikatnego już choćby przez to, że w grę wchodzi spoistość naszego sojuszu z Rumunią. Gdy przebrniemy przez ten najtrudniejszy szkopuł, trzeba będzie zająć się rozszerzeniem naszej bramy południowej przez właściwe rozwiązanie kwestii słowackiej, która wciąż

jest w zawieszeniu. Niezależna Słowacja pod gwarancją Polski, to ideał, do którego powinniśmy dążyć. Było by to najkorzystniejsze i dla nas i dla Słowaków.

Powie ktoś, że znowu Niemcy będą stawali na przeszkodzie takiemu umocnieniu się wpływów Polski w basenie naddunajskim, albo będą żądali czegoś wzamian. Odpowiemy, że w Monachium Niemcy nie troszczyli się, czy Polska ma coś otrzymać wzamian za tak olbrzymi wzrost ich potencjału mocarstwowego, jaki im dało przyłączenie $3^1/_2$ miliona Niemców sudeckich. A zresztą Polska ma coś do ofiarowania Niemcom. Poprze ona bezwzględnie żądanie zwrotu kolonii, które w samej rzeczy należą się słusznie i godziwie Trzeciej Rzeszy.

Po osiągnięciu tych celów będzie można nadać realny walor i skuteczność polityczną utworzonej w ten sposób osi Warszawa — Budapeszt — Rzym, tj. porozumieniu trzech państw katolickich, przeznaczonych do zastąpienia w Europie tej formacji, jaką stanowiła dawna austriacka monarchia apostolska. Niewątpliwym, najlepszym środkiem do utrwalenia tej osi i umocnienia jej punktu węzłowego nad Dunajem, byłaby unia Polski i Węgier, która ma już piękne tradycje historyczne.

Zmontowanie tej konstrukcji da już Polsce taką szeroką bazę i tyle elementów siły w Europie Środkowej, że będzie ona mogła związać się ściślej z Niemcami w ich planach wschodnich,bez obawy, że wspólny pochód obu mocarstw za Dniepr i nad Morze Czarne, może się skończyć okrążeniem Polski i zmuszeniem jej do pełnienia funkcji niemieckiego wasala.

Równocześnie pracować trzeba usilnie nad wprowadzeniem Rumunii, Jugosławii i Bułgarii w obręb systematu środkowo-europejskiego. Ta sprawa ma jednak obok aspektu politycznego, także swój aspekt religijny. Rumunia, Bułgaria i Jugosławia (a przynajmniej większa część tego kraju), są to państwa prawosławne. Toteż trwałe związanie ich z Polską i z blokiem środkowo-europejskim uzależnione jest w znacznej mierze od dopełnienia przez Polskę szeroko zakrojonego dzieła unii obu kościołów, będącego jej misją historyczną.

Politycy skłonni będą lekceważyć to zagadnienie religijne i jego wagę dla budowy nowego porządku w Europie Środokwej. Bo politycy są na ogół krótkowzroczni i myślą kategoriami trywialnie uproszczonymi. A dziś w Europie jest dużo polityków, multum politykierów drugiej klasy, a mało mężów stanu. Sądzimy, że można by ich policzyć na palcach jednej ręki. A jednak, wbrew politykierom małego kalibru stwierdzamy kategorycznie: rozwiązanie problemu nowej Europy Środkowej będzie tylko koniunkturalne, kruche i nietrwałe, jeżeli nie oprzemy go na fudamencie jedności kościelnej. Pamiętajmy bowiem, że kwestia środkowo-europejska nie jest izolowana od wielkiej rewolucji religijnej i światopoglądowej, jaką przeżywa świat współczesny. Na zachód od Europy Środkowej jest pogański rasizm, na wschód jest ateistyczny bolszewizm. Sprawa toczy się o Boga i prawdy absolutne. Nowe imperium nie będzie mogło pozostać neutralne wobec tej wielkiej duchowej rozgrywki.

Misja religijna Polski w Europie Środkowej daje jej wielką przewagę nad Niemcami. Od powodzenia tej misji zależy przyszłość cywilizacji chrześcijańskiej. Sprawy to nie tak dalekie, jakby się mogło komuś wydawać. Trzeba więc myśleć już teraz, bo my Polacy spóźniamy się zawsze i zawsze jesteśmy mądrzy po szkodzie.

Gospodarczo system naddunajski jest bardziej związany z Niemcami niż z Polską. Jest to skutek aneksji Austrii, która wpleciona była dogłębnie w ten kompleks produkcji i wymiany. Były tu wielkie zaniedbania z naszej strony, przez szereg lat nie zrobiono prawie nic, by — po rozpoczęciu wojny celnej z Niemcami — skierować na te obszary naszą ekspansję handlową. Odnosi się to zwłaszcza do basenu naddunajskiego, bo okrąg bałtycki jest pod tym względem lepiej spenetrowany. Musimy się pogodzić z tym stanem rzeczy i pójść na dobrze przemyślane porozumienie środkowo-europejskie z Niemcami, oparte na pewnym podziale ról, zapewniającym Niemcom na tym terenie znaczne przywileje ekonomiczne i *bazy surowcowe*, nam zaś gwarantującym szerokie wpływy polityczne i kulturalne. Niemcom, wychowanym na zasadach rasistowskich „Blut und Boden", łatwo będzie wytłomaczyć, że słowiańska ludność tej strefy Europy bliższa jest Polsce, niż im i stanowi naturalną bazę naszych aspiracyj historycznych.

Ten neoimperializm polski, zmuszający nas do gwałtownego rozszerzenia naszych horyzontów politycznych, nie może nie odbić się na ustroju wewnętrznym państwa. Ani mechaniczna konsolidacja, ani demokracja parlamentarna, ani bezideowy totalizm biurokratyczny nie da Polsce tej dynamiki i siły atrakcyjnej, która jest jej nieodzownie potrzebna do tak szerokiej akcji konstruktywnej na terenie międzynarodowym. Ustrój nowej Polski musi być ściśle przystosowany do idei misji dziejowej, która będzie dominującą w tym okresie. Świadomość i wola posłannictwa musi zapanować nad wszystkim i rozpłomienić naród wiarą w siebie. Tylko chrześcijański nacjonalizm posłanniczy może tego dokonać. Ustrój narodu mesjanicznego to ideokracja, rząd idei, narzędzie realizacji prawdy, jaką Polska przynosi światu.

Tylko ideokracja polska, łącząca w sobie zasadę misji dziejowej i zasadę twórczego imperializmu rzucić może naród do wielkiej krucjaty duchowej i ekspansji polityczno-ekonomicznej na terenie Europy Środkowej. Jest to tak rzeczywiste, że nie ma potrzeby udowadniania tej tezy. Polska przystąpić musi do budowania na tych obszarach nowej kultury, nadającej sens duchowy istnieniu tej olbrzymiej konstrukcji imperialnej jaką ma być „blok trzech mórz" pod jej przewodnictwem.

Rzecz naturalna, że przy budowie tego nowego systemu nie da się uniknąć znacznych korektur granicznych i przeobrażeń politycznych, w strefie środkowo-europejskiej. Krzywda i niesprawiedliwość traktatów musi być naprawiona, sztuczne twory ulec muszą rekonstrukcjom. Ale są to epizody w porównaniu z wielkością i doniosłością dzieła.

B.P.A. powstać musi. Jest ono koniecznością historyczną. Bo tylko ta formacja ideowo-polityczna salwować może najwyższe wartości naszej cywilizacji przed nocą chaosu i barbarzyństwa. I tylko ona stanowić może bazę do wielkiej akcji w Europie wschodniej, akcji, którą podejmie kiedyś Polska, czy to sama, czy wspólnie z Niemcami i Japonią, dla uwolnienia ludzkości od zmory bolszewizmu.

Masoneria, jej cele, organizacja, metody

Trudności problemu

Problem masonerii i związków tajnych jest tak rozległy, że nie roszczę sobie pretensji do ogarnięcia go w jednym, pobieżnym szkicu. Badania nad tym zagadnieniem posunięte są już dziś tak daleko, a gąszcz zjawisk, pozostających w związku z nim, tak jest skomplikowany i zawile splątany, że z konieczności trzeba je studiować fragmentarycznie, segregując materiał na poszczególne działy powierzone specjalistom, którzy powoli gromadzić będą dane do przyszłej syntezy. Zwłaszcza problemat *mistycyzmu,* jako fenomenu wyjątkowego duszy ludzkiej, będącego podłożem wszelkich doktryn okultystycznych i praktyk magicznych uprawianych przez tajne stowarzyszenia, jest jeszcze tak mało zbadany — wspomnę tu choćby i wieloznaczność samego terminu: mistycyzm — że uchwycenie samej istoty socjologicznej i psychologicznej t.zw. „świata podziemnego" nastręcza wciąż poważne trudności.

Wielu ludziom, skąd inąd wykształconym, wydaje się to nie do wiary, by obok normalnie funkcjonującego społeczeństwa, zorganizowanego w sposób naturalny i widoczny w pewien określony ustrój gospodarczy, socjalny, polityczny, religijny i kulturalno wychowawczy, mógł istnieć jeszcze drugi, niewidzialny świat społeczny, ukryty przed okiem profanów a trwający nieprzerwanie poprzez stulecia, podległy własnym prawidłom i kręgom wyobrażeń, a nawet usiłujący wpływać skutecznie na bieg rzeczy w tym świecie oczywistym, w pełni siebie świadomym.

Czy podobna, by istnienie tego społeczeństwa podziemnego dało się zataić przed okiem władzy państwowej, zbrojnej w aparat policyjno - śledczy, a zwłaszcza przed okiem szperaczy - historyków? Czym to wytłumaczyć, że badania nad mistycyzmem okultnym i związkami tajnymi zaczęły się na dobrą sprawę dopiero w wieku XIX-tym i XX-tym, dotąd zaś kwestia ta tonęła w mrokach tajemniczej legendy?

Argument z psychoanalizy

Najlepszą odpowiedzią na te wątpliwości będzie — jak sądzę — przykład Freuda i jego teorii psychoanalizy. Nie jestem jej zwolennikiem i sądzę, że była ona groźnym zamachem na pojęcia duszy i wolnej woli. Jednakowoż ma ona tę zasługę, że wykryła i udowodniła niewątpliwie istnienie *sfery podświadomej,* gdzie żyje i działa niejako *drugie nasze „ja"*, jakieś pierwotne indywiduum, absolutnie egoistyczne, które rządzi się własnymi popędami i prawidłami, sztucznie maskowanymi przez symbolikę snów i tp. tricki, znane z psychopatologii życia codziennego. *Impulsy tego drugiego „ja" wdzierają się wciąż w nasze życie świadome, zakłócając je i wtrącając w stan anarchii moralnej, przemycając zło i fałsz do naszych najlepszych intencyj i pchając nas w kierunku wprost przeciwnym do tego, jaki wytycza nam rozum i wolna wola* (Video meliora proboque deteriora sequor).

Podług Freuda i jego następców, to zakonspirowane alter-ego jest właściwym motorem naszych postępków, jest jakby dzikim, nieobliczalnym wierzchowcem, który ponosi na swym grzbiecie bezwolnego jeźdźca — świadomość. Samolubstwo, pycha i żądza — czyli w terminologii psychoanalizy: narcyzyzm, kompleks ambicjonalny i kompleks rozkoszy— oto elementy tego indywiduum podświadomego, które nie zna i nie chce żadnych więzów, żadnych obowiązków i ograniczeń. Wpływ tego tajemniczego „ja", które cechuje dzikość pierwotna i amoralizm dziecięcy — w niewinnym sformułowaniu Freuda — a także walka jego z naszym „ja" świadomym, jest przyczyną główną postępków nieetycznych i zbrodniczych, czyli tego wszystkiego, co religia zwie „grzechem", jak również zboczeń patologicznych natury ludzkiej, nerwic, schizofrenij, aż do obłędu włącznie.

W podziemiach historii

Czyż związki tajne, ze swą propagandą ateizmu i amoralizmu, akcją terrorystyczno-wywrotową, konspirowaniem się w mrokach, ukrywaniem pod nieprzejrzystą symboliką, nie są przedziwną analogią tego freudowskiego alter-ego, rzutowaną na teren społeczny?

Niewątpliwie tak. I powiem więcej jeszcze: są one nie tylko analogią, lecz pozostają w *rzeczywistym związku* z psychopatologią życia podświadomego, kulminującą w mistycyzmie i praktykach magicznych. Są one istotnie ową *sferą podświadomą ludzkości* i jej historycznego bytowania. Ich naczelnym motywem jest *nienawiść do społeczeństwa świadomego* i zorganizowanego w instytucjach, stabilizujących normy rozumu i wolnej woli, normy religijne i polityczno-prawne, w ogóle: prawa i obowiązki.

Z tej otchłani, kłębiącej się pod progiem historii i kultury ludzkiej, *wydobywają się raz po raz złowrogie impulsy*, fałszywe i burzycielskie doktryny, krwawe rewolty przeciwko porządkowi prawnemu, zamachy terrorystyczne i ustawiczna propaganda wywrotowa. Tam biorą swój początek owe osławione *„sztuki piekielne"*, skrytobójstwo i kalumnia, akty sabotażu i akty perwersji, edycje pornograficzne i rozmyślne wypaczanie postępów myśli i moralności.

Działalność ta, której źródłem są *jednostki szczególnie zdeprawowane,* o przewadze owego popędu egoistycznego i destrukcyjnego nad altruistyczną i konstruktywną funkcją rozumu i wolnej woli, jest zrazu instynktowna i chaotyczna, stopniowo jednak przybiera postać systematyczną i zorganizowaną. *Osobniki tego typu łączą się w związki tajemne i ujmują w system poglądy swoje na rzeczywistość, wręcz przeciwne poglądom społeczeństwa jawnego*, a maskując swe istotne cele i swą awersję do reszty świata, wciągają coraz szersze kręgi ludzkie w orbitę swych działań. Powstaje tak potężna więź organizacyjna *złej zasady*, konspirująca przeciwko ludzkości i osiągająca wreszcie tak wielkie znaczenie i wpły-

wy, że staje się aktualne ponure określenie Leopardiego: „Świat jest sprzysiężeniem szubrawców przeciwko ludziom dobrej woli".

Stary świat grzechu

Sprawa ta ma swój głęboki aspekt *religijny*. Religia to bowiem, w szczególności Stary i Nowy Testament, przynosi nam objawienie o *upadku moralnym pierwszych ludzi* i o dziedziczeniu tego stanu upadłego przez prokreację pokoleń, oraz o postulacie odrodzenia duchowego, jaki Bóg postawił duszy ludzkiej. Cała historia jest — z perspektywy religijnej — niczym innym, jak mozolnym procesem wyzwalania ludzkości z niewoli popędów *natury skażonej*, które, z punktu widzenia psychoanalizy, są oczywiście równoznaczne z owym „ja" pierwotnym, ukrytym w sferze podświadomej. Historia buduje kosmos moralny, olbrzymi aparat dźwigni i urządzeń, które mają nas oderwać od zwierzęcości popędów a poddać rygorom ideałów transcendentnych, nakazów moralnych, obowiązków i norm prawnych.

Otóż *tajne związki to „stary świat grzechu", zbuntowany przeciwko całej tej „nadbudowie kulturalnej"* (używam tu świadomie terminu Marksa, żyda i wolnomularza!), marzący o jakimś „Weltoktober", który *zniszczy wszelkie prawa i systemy etyczne, filozofię i religię, kościół i państwo, ustrój oparty na własności i rodzinie*, a sprowadzi świat z powrotem do stanu pierwotnego.

Poznajemy tu masoński światopogląd Jana Jakuba Rousseau'a, który utożsamiał przecież ów stan pierwotny, stan hordy nieokrzesanej i anarchii, z właściwym „stanem społecznym" ludzkości, dowodząc — w przewrotnym pomieszaniu pojęć — że kreacje historii i kultury są złem absolutnym, zaś dobrem jest amoralny hedonizm, owa rozkosz dziecka grzebiącego w fekaliach, gloryfikowanego tak niedawno w pismach Boya-Żeleńskiego. Postęp — w pojęciu lóż i tajnych związków — polegać ma właśnie na zniszczeniu wszystkich więzów moralnych i powróceniu człowieka do owej — „niewinności pierwotnej".

„Kamień filozoficzny"

Tu mamy „kamień filozoficzny" starodawnej *wiedzy tajemnej*, którą karmi się i truje dusze adeptów w lożach. Kamień ten, to w symbolice mistagogicznej „człowiek wyzwolony".

Mówi wszak Cagliostro: „Jest („kamień") kluczem, którym otwiera się i zamyka wszelkie bramy przyrodzenia; jest węzłem zdolnym do wiązania i rozwiązywania wszystkiego w świecie... Oto opoka, na której prawdziwy mularz wznosi dom chluby i zaszczytów; (prawdziwa) świątynia Salomona" „...W istocie swojej stosuje się kamień filozoficzny wyłącznie do człowieka, jako takiego. Onże jest owym kamieniem trójkątnym...".

Gmach świątyni Salomona stanąć ma na „człowieku wyzwolonym" od Boga i praw moralnych, fundamencie prawdziwej wolności, równości i braterstwa. A ktoby wątpił w słuszność tej interpretacji, niech posłucha, co pisze autor pewnego starego dzieła o Zakonie bawarskich Illuminatów i jego symbolice wyłożonej w systemie twórcy tegoż zakonu, Weishaupta:

„Kamień prosty czyli *niepolerowany* Masonów, staje się u niego znakiem pierwszego stanu Człowieka dzikiego, ale wolnego. Ich kamień *przełupany* czyli stłuczony jest stanem natury upodlonej ludzi żyjących w Cywilnych Społeczeństwach, nie składających już jednej szczególnej familii, lecz podzielonych podług ich Ojczyzny, Rządów, i Religiów. Kamień nakoniec *polerowany* oznacza Człowieka wróconego do swej pierwiastkowej godności i niepodległości"...

„Raj ziemski"

Oto proste wyjaśnienie masońskiej idei „raju ziemskiego"z jednej, a związków masonerii z żydostwem z drugiej strony. „Raj ziemski" wolnomularzy to ów „raj dziecięcy" Freuda, raj wyzwolonych popędów, anarchii i użycia. Zaś co do żydostwa, to wiemy, że naczelnym dogmatem mozaizmu jest prawda objawiona o upadku człowieka i nakazie powrotu do raju. Z chwilą, gdy rabini i mędrcy w Piśmie zanegowali jedyną drogę zbawienia wskazaną przez Chrystusa, drogę moralnego odrodzenia, wiodącą do raju niebieskiego poza światem, Stary Zakon popadł w najstraszliwszą herezję: przeciwstawił „raj ziemski" Królestwu Niebieskiemu, za czym poszło *zmaterializowanie idei tego raju* i utożsamienie go z ideałem *stanu pierwotnego ludzkości*, wyznawanym przez tajne związki. Poprzez kabałę i Talmud związał się żydowski Synhedryn na śmierć i życie ze „światem podziemnym", zniszczył prawdziwą religię żydowską, a podstawił na jej miejsce fałszywy mesjanizm oraz okultyzm kabały i pseudofilozofii rabinicznej. Naród żydowski, sam nie wiedząc o tym, przestał oczekiwać Mesjasza, a zaczął — wraz z lożami i ligami tajnymi — oczekiwać arcy-homunculusa, człowieka-szatana, Antychrysta.

Geneza mistycyzmu i magii

Widzimy już teraz, gdzie mają swe źródło doktryny okultystyczne, cała ta wiedza tajemna, będąca pożywką ideologiczną tajnych stowarzyszeń, a rozgałęziona w niezliczone systemy i praktyki mistyczne, jak astrologia, magia biała i czarna, taumaturgia, teurgia, wywoływanie demonów, wróżbiarstwo, medycyna mistyczna, spirytyzm i mediumizm, różnego autoramentu misteria itp.

Geneza ich tkwi po prostu w próbie przywrócenia człowiekowi *energii mistycznej*, czyli sił metapsychicznych, które jakoby *posiadał w swym stanie pierwotnym*, a które *zatracił* przez długotrwałe używanie wyłącznie mocy świadomych: intelektu i wolnej woli. Człowiek — w wyobrażeniu mistyków — jeżeli chce odnaleźć z powrotem mądrość i potęgę z utraconego „raju ziemskiego", powinien *wyłączyć działanie świadomego rozumu, a poddać się wpływom i impulsom świata niewidzialnego*, duchów i demonów, wypełniających „sferę astralną". Kontakt ten możliwy jest tylko przy pomocy specjalnych władz naszego „ja", uśpionych w podświadomości. Drogą do nich jest marzenie senne, letarg, katalepsja, ekstaza, upojenie mistyczne, w ogóle wprawianie się w stan wibracji pozapsychicznej, w której człowiek-mikrokosmos zlewa się rzekomo w jedności z makrokosmosem, z wszechświatem, z absolutem, czyli bytem samym w sobie.

Jest to oczywiście fikcja faustowska, która skończyć się musi na tym, co religia określa jako *„pakt z diabłem"*. Zamiast absolutu — którego dosięgnąć możemy tylko przez wiarę w Boga i twórczy wysiłek rozumu — adepci magii *zabijają w sobie wyższe, świadome władze duszy*, a rozbudzają *niższe*, podświado-

me, takie jak energia magnetyczna czy tzw. jasnowidztwo, które jest atrybutem zwierząt, psów czy szczurów, uciekających z tonącego okrętu. Wywołują też oni *sztuczny przerost wyobraźni*, która—wyzwolona spod kontroli rozumu—przestaje być narzędziem duszy, a staje się złowrogą siłą samoczynną i zaczyna produkować monstrualne twory rozwydrzonego irracjonalizmu, o jakim zdrowy moralnie i intelektualnie człowiek nie może mieć nawet wyobrażenia.

Kult złej zasady

Oto mamy całą treść wiedzy okultnej i wtajemniczeń, które fascynują obałamuconych adeptów lóż: „ja" wyzwolone Illuminatów, uprawa niższych władz psycho-somatycznych i „nierząd wyobraźni" (jak nazwał Hoene-Wroński ten dziwaczny fenomen umysłowości mistyków). Ta uprawa uzdolnień metapsychicznych i ten nierząd wyobraźni czyni rozum ludzki niezdolnym do twórczości. Stąd *niezrozumienie i nienawiść tych istot* i w ogóle tajnych związków do wyższych dyscyplin ducha, takich jak filozofia, religia, sztuka, nienawiść do norm etycznych, prawnych i obyczajowych, do zrzeszeń moralnych ,jak państwo i kościół. Stąd też owe *siły magiczne*, które czynią tych mistagogów i „kawalerów tajemnicy" czymś wyższym w oczach ciemnego tłumu. I stąd wreszcie *poznanie zła*, zażyłość intymna ze „światem grzechu", znajomość niskich motywów i popędów skażonej natury, wyposażająca ich w sztukę perfidii i cynizmu bez skrupułów, co pozwala im manewrować zręcznie masami i nazywać się szyderczo naszą *„Opatrznością żyjącą"*. Tu właśnie tkwi sens ukryty symbolu kabalistycznego *gwiazdy sześcioramiennej*, gdzie trójkąt odwrócony krzyżuje się z trójkątem normalnie ustawionym, co oznacza „znajomość dobrego i złego".

Dualizm ten, *współistnienie dobrej i złej zasady*, gdzie szatan uznany jest za potęgę równorzędną Bogu, jest *punktem wyjścia „wiedzy tajemnej", gruntem na którym kiełkują wszystkie późniejsze doktryny mistyczne*. Jest to zasada *lucyferyzmu*, czyli zła metafizycznego, z którego biorą swój rodowód tajne związki w ich odwiecznym ateizmie, czy raczej w ich *buncie przeciwko Bogu* i boskim planom w historii ludzkości. A jak punktem wyjścia doktryn tajemnych jest bunt przeciw Bogu, tak punktem dojścia, celem do którego zmierzają tajne bractwa, loże, zakony i ligi, jest *przewrócenie zasad moralnych w człowieku*, czyli zamach na wyższe, nadprzyrodzone przeznaczenia ludzkości. Tu geneza tzw. *antychrystyzmu*, czyli zła społecznego, jakie usiłuje zrealizować ta sprzysiężona „zgraja piekielna". Oczekiwanie Antychrysta w lożach masońskich oznacza po prostu oczekiwanie ery panowania związków tajnych, w której dotychczasowy porządek społeczny będzie zastąpiony „porządkiem" odwrotnym, ustrojem permanentnej anarchii i gwałtu zorganizowanego. Próbkę tego ustroju oglądamy dziś w Rosji sowieckiej.

Tak więc rozwój historii, w symbolice illuminackiej, jest cyklem ewolucyjnym, prowadzącym od *zła* metafizycznego, zrealizowanego przez „upadek Aniołów" na tamtym świecie, do zła społecznego, zrealizowanego na tym świecie. *Pierwszym środkiem do tego celu jest przysięga masońska, która, oddając adepta całkowicie we władzę nieznanych przełożonych, pozbawia go wolnej woli a więc i godności moralnej, przez co odrywa go od Boga, a czyni niewolnikiem złej zasady.*

„Zgraja piekielna"

Zagadnienie tajnych związków jest tedy przedmiotem prawdziwej *kryminologii historycznej*. W jaskiniach lóż knuje się zamach na prawo boże i człowieczeństwo, zamach obliczony z jednej strony na *zniszczenie wszelkiej moralności* a z drugiej strony na *przywłaszczenie wszystkich dóbr ziemskich* przez szajkę zakonspirowanych pasorzytów. Środkiem do tego celu jest *powszechne zrzeszenie tajemne*, obejmujące cały glob, oraz *powszechna propaganda wywrotowa* przeciwko prawdzie i dobru.

Jak wygląda w rzeczywistości *organizacja* tego zrzeszenia światowego i tej propagandy wywrotowej? Aby zrozumieć charakter i cechy tej organizacji, trzeba sobie uświadomić dobrze, że jest ona in statu nascendi, niedokonana jeszcze, choć bliska już ostatecznego zrealizowania. Tworzenie jej trwa przez stulecia, zrazu po omacku, drogami złowrogiego instynktu, a po tym coraz bardziej świadomie. Świat podziemny jest *strefą wulkaniczną*, wstrząsaną ustawicznym drżeniem, wrzącą jak kocioł czarownic, w którym warzą się coraz to nowe „objawienia mistyczne", systemy, ryty i obrządki. Pojawiają się tutaj, w tym mrocznym labiryncie lóż, warsztatów, bractw, zakonów, w którym sam czart się nie wyzna, wciąż nowi prorocy, reformatorzy, rewelatorzy, podający się za wysłanników „Opatrzności żyjącej", czyli jakiejś rady czy *kapituły najwyższej*, która ma istnieć jakoby to w Tybecie, to znów gdzie indziej, której członkowie są ponoć prawdziwymi „duchami ziemi" (èsprits terrestres), nieśmiertelnymi w ciałach, jak głoszą niektórzy, ale o której nikt nie wie, czy na prawdę istnieją. Hoene-Wroński, prekursor walki z tajnymi związkami, który już sto lat temu odsłonił istotę najgłębszą tej masońskiej „zgrai piekielnej" (bande infernale) i padł ofiarą zemsty masońskiej, wyrażającej się w prześladowaniu za życia i absolutnym „pierścieniu milczenia" po śmierci, twierdzi, że ten komitet najwyższy istnieje i działa. *Dla nas dziś nie ulega wątpliwości tożsamość tej „diabelskiej kapituły" z tajnym Synhedrynem światowego żydostwa.*

Gółwne odłamy

Hoene-Wroński systematyzuje kwestię organizacji „świata podziemnego" w sposób następujący: Jest tyle odnóg mistycyzmu demonicznego ile *religij pozytywnych*, na których on pasorzytuje i—niezdolny nic stworzyć sam z siebie—czyni piekielny „gulasz" z ich pojęć,misteriów i symbolów. Jest więc: mistycyzm kabalistyczny czyli żydowski, mistycyzm gnozy czyli chrześcijański, mistycyzm muzułmański i mistycyzm hinduski. Mistycyzm kabalistyczny i muzułmański ciążą ku sobie i zlewają się w jedno łożysko, z którego wywodzi się genetycznie *masoneria*, czyli wolnomularstwo, mające główną siedzibę we Francji i krajach anglosaskich. Podobnie splatają się ze sobą mistycyzm gnostyczny i hinduski, tworząc wreszcie, w w. XIX-tym wspólną *gałąź indochrześcijańską*, której centrale znajdują się w Niemczech południowych. Te wielkie obozy mistyczne są rezerwuarem sił i impulsów tajemnych dla zorganizowanego świata tajnych stowarzyszeń.

Struktura organizacyjna wygląda więc mniej więcej tak: U góry komitet najwyższy — powiedzmy: Synhedryn żydowsko - sataniczny — niżej Illuminaci i Zakony okultystyczne, a jeszcze niżej tzw. *antynomia mistyczna*, tj. rozszczepienie świata podziemnego na dwie odnogi, z których pierwsza, zwana „Bractwami Lewicy", ciąży ku bezwzględnemu ateizmowi (jest to właśnie wolnomularstwo sensu stricto), druga zaś ku mistycyzmowi religijnemu, stanowiąc „Bractwa Prawicy", które od niepamiętnych czasów wciskają się do religij, zarażając je sekciarstwem, tamując ich postępy i rozkładając od wewnątrz przez herezje i rozłamy. Dla Wrońskiego jest rzeczą bezsporną, że głównym celem tej perfidnej infiltracji jest Zakon Jezuitów, który powstał właśnie *dla walki ze „zgrają piekielną"* i dla sterowania ludzkości ku jej przeznaczeniom najwyższym; upadek jego w pewnym okresie historii przypisuje nasz myśliciel wśliźnięciu się do Tow. Jezusowego wielu fałszywych braci, którzy go rozmyślnie dyskredytowali, dając pretekst do oczerniania zakonu przed Stolicą Apostolską.

Mistycyzm *masoński* wywodzi Wroński od *sekt starożydowskich Saduceuszów*, których światopogląd miał charakter raczej materialistyczny. Powstanie masonerii wiąże jednak z okresem reformacji, z racjonalizmem i immanentyzmem protestanckim, negując rzekome dawniejsze tradycje bezpośrednie. Natomiast *mistycyzm sekt pseudoreligijnych, wywodzący się od sekt żydowskich Faryzeuszów*, ciągnie się nieprzerwaną nicią poprzez średniowiecze i szkoły mauretańsko - rabiniczne w Hiszpanii, poprzez Rycerzy Świątyni z okresu wojen krzyżowych i jansenizm francuski aż do czasów nowożytnych.

Co do zakonów illuminackich (głównie niemieckich, jak Różokrzyżowcy, ryt ścisłej Obserwy, ryt szwedzki, Illuminaci Weishaupta), które K. M. Morawski słusznie, jak sądzę, wiąże genetycznie ze światem renesansu włoskiego, tajnych akademii, lóż stołowych itp.—to zaliczyć je trzeba do trzeciej kondygnacji, a mianowicie do „strefy" lóż okultystycznych, będącej nadbudową i elementem koordynującym w stosunku do lóż masońskich i sekt religijno-mistycznych. Dodam nawiasowo, że cechą naczelną illuminizmu, jako najogólniej pojętej doktryny mistycznej, a nie jako danej, poszczególnej organizacji tajnej, w rodzaju n.p. Illuminatów bawarskich — jest szukanie kamienia filozoficznego w *kontakcie i wpływie wzajemnym świata niewidzialnego, tj. demonów i dusz zmarłych, oraz świata widzialnego*. Przyjmowanie do lóż demonów i dusz zmarłych jest zresztą notoryczne dla wielu środowisk masońsko-illuminackich, co daje nam miarę potworności tych nonsensów mistycznych.

Ustrój masonerii

Masoneria dzieli się na spekulatywną i praktyczną. Podział na masonerię błękitną i czerwoną, białą i czarną odpowiada mniej więcej naszkicowanym przez Wrońskiego czterem kondygnacjom zasadniczym. Ustrój wewnętrzny lóż jest zakonspirowany nie tylko na zewnątrz, lecz i *od wewnątrz*. Organizacja formalna—nazwijmy ją „ceremonialną"—jest pokrywką i zasłoną dymną dla organizacji istotnej, której „szare eminencje" nie są znane nawet członkom lóż. Podobno rzeczywisty kierownik danego kręgu, który zdekonspirował się przed „braćmi" karany jest śmiercią za swą nieopatrzność.

Świat lóż rozpada się na szereg rytów, z których najbardziej rozpowszechniony jest tradycyjny ryt trójstopniowy pierwszych lóż angielskich, oraz ryt szkocki, zwany „Obrzadkiem szkockim dawnym uznanym", a liczący aż 33 stopnie. Prócz rytów zasadniczych istnieje ponad 50 oddzielnych obrządków (rytów) mniej rozpowszechnionych.

Jak wygląda sprawa tajemnic masońskich? *Istotną i najważniejsza tajemnica, znaną tylko członkom najwyższych rad, kapituł i kolegiów masońskich jest niewątpliwie tajemnica bezpośredniego pochodzenia „zgrai piekielnej" od złej zasady, z którą magowie i sataniści, stojący na szczytach hierarchii okultystycznej, komunikują się bezpośrednio*. Te arcytajemnicę, odkrytą przez Wrońskiego na drodze badań nad istotą mistycyzmu, zreferowałem po krótce na wstępie tego artykułu. Co do innych tajemnic, pewnikiem metafizycznym i logicznym jest dla mnie, że „wiedza tajemna" nie przynosi i posiadać nie może żadnych istotnych poznań, dotyczących istoty rzeczywistości absolutnej, czy to w jej aspekcie filozoficznym czy religijnym. Natomiast tajemnicą rzeczywistą są *cele i metody działania „zgrai piekielnej"*, zwłaszcza zaś *skład osobowy* komitetów najwyższych, kierujących istotnie całym światem podziemnym oraz zależność od centralnych ośrodków dyspozycji międzynarodowego żydostwa.

Zewnętrzna organizacja masonerii bazuje na systemie filiacyj i stowarzyszeń pokrewnych, jak Rotary-Club, Zakon Odd Fellows itp., dalej na organizacjach buforowych i pomocniczych, jak Liga Obrony Praw Człowieka, na partiach politycznych, wyrosłych z ducha masońskiego, jak socjalizm, komunizm, anarchizm, radykałowie francuscy itp., wreszcie na grupach o charakterze mafijnym, przenikających w różne dziedziny życia publicznego. *Typem ustrojowym, lansowanym przez masonerię polityczną, jest „republika masońska"* (république des camarades), owa balzakowska „kamaraderia", tj. państwo, którego szkielet wewnętrzny stanowią loże, a ustrój konstytucyjno-prawny, społeczno - gospodarczy i polityczno - partyjny jest tylko jego emanacją zewnętrzną (patrz: Michel „Państwo w okowach masonerii").

Metody

Teraz parę słów o metodach działania. Są one dostosowane do istoty i struktury wewnętrznej masonerii. Masoneria, ten wielki pasorzyt, dba przede wszystkim o utrzymanie w swych rękach pieniędzy, wpływów i zaszczytów, stanowią one bowiem zarówno narzędzie jej potęgi, jak i środek przywabiania adeptów. Gra o personalia jest więc fundamentalną jej metodą. Masoneria musi mieć wszystko w rękach, to jest jej „być — nie być". W każdym ustroju musi być na wierzchu. Jest to wielka światowa „familia", której radą rodzinną jest sprzysiężenie możnowładców żydowskich, na niższych kondygnacjach przeważają osobniki zżydziałe duchowo i fizycznie, a jeszcze niżej kręgi uzależnionych. Masonia idzie też rodzinami, koligacjami i sitwami kółek braterskich. Wciąga ludzi za wczasu, zastawiając sieci na najzdolniejszych. Ale wciąga powoli, bo — jak mówi Illuminat Weishaupt— wystarczy, gdy oświecony wtajemniczy i ukształci w ciągu swego życia jednego tylko ucznia, a już zrobił ogromnie wiele dla loży. Werbunek odbywa się tak przebiegle, że osobniki mniej ostrożne dostają się w krąg wewnętrzny lóż, nie wiedząc nawet kiedy i nie mają już sposobu, aby się zeń wydostać.

Masoneria działa zarówno przez popieranie i rozdawnictwo synekur, jak przez przemilczanie i gwałt w stosunku do przeciwników, lub niewygodnych; zarówno przez dyskretne impulsy i inspiracje, jak przez prowokację, postrach i szpiegostwo. Kompromituje monarchie przez rasputinady i przenika przez małe, zgrane jaczejki na teren organizacji społecznej i politycznej państwa. Nie ma skrupułów w usuwaniu przeszkód. Morduje niechętnie, ale sztuki trucicielskie, sztylet, zatrucie gazem świetlnym, upadek z okna na bruk itp. przypadki są jej dobrze znane, a tresura speców od tej „mokrej roboty" tak daleko jest posunięta, że wykrycie sprawców jest zazwyczaj niepodobieństwem.

Duch masoński

A teraz parę słów o *duchu masońskim*. Powiedział o nim ktoś: „Nie straszna jest masoneria, straszny jest duch masoński". Składniki jego to *cynizm absolutny i pogarda dla profanów*, połączone z niebywałą *megalomanią z jednej strony*, a równie przepastną *hipokryzją* z drugiej strony. Ustawiczny niepokój wewnętrzny, *życie w atmosferze postrachu*, wywołanego terrorem w łonie lóż, *pościg za karierą*, monstrualność obrzędów masońskich, *straszliwe pomieszanie pojęć wynikłe z plątaniny doktryn mistycznych*, czyni życie w tym środowisku *istnym piekłem*. Ale są widać osobniki, znajdujące rozkosz w tym kultywowaniu anarchii intelektualnej i destrukcji moralnej, *w procesie samoniszczenia*.

Jakież są wpływy rzeczywiste lóż? Opasują już cały glob i docierają wszędzie, czemu trudno się dziwić zważywszy, że same encyklopedie obliczają ilość wtajemniczonych na 4—5 milionów, a nie uwzględniono w tym potężnej masonerii żydowskiej, ani organizacyj afiliowanych i innych związków tajnych. (Zaznaczę nawiasowo, że żydostwo — zwłaszcza w kołach inteligencji — jest całe jedną wielką organizacją tajną).

Na terenie politycznym jest masoneria — w większości państw — czynnikiem rządzącym, że wspomnę choćby o Francji, Anglii, Meksyku, czy Stanach Zjednoczonych. Zwierzchnicy państw stoją zazwyczaj na czele tzw. wielkich warsztatów państwowych i wchodzą w skład wielkiego warsztatu międzynarodowego. Masoneria stara się też mieć w rękach wszystkie, a przynajmniej większość partyj politycznych, którymi gra umiejętnie. Dlatego rajem dla niej jest tzw. ustrój demokratyczny.

Na terenie społeczno-gospodarczym masoneria ma wpływ przemożny na „wielki kapitał", zarówno jak na związki świata pracy, zwłaszcza o charakterze lewicowym. Na terenie religijnym krzewi się bujnie w kościołach protestanckich, a w kościele katolickim sieje zamęt poprzez sekty i herezje. Wreszcie na terenie kulturalno-wychowawczym ujęła w ręce *szkolnictwo* w tzw. wychowaniu laickim, opanowała, pod maską racjonalizmu i postępowości, cały niemal świat naukowy, dysponuje w wielu krajach katedrami i stypendiami na studia, usiłuje też wciągnąć literaturę i sztukę w swój własny system organizacji kultury.

Masoneria w Polsce

Jak wyglądają wpływy masonerii w Polsce odrodzonej? P. K. M. Morawski rzucił w swych dziełach wiele światła na to ciemne wciąż jeszcze zagadnienie. Wybitne zasługi w dziedzinie rozszyfrowania roli masonerii w naszym kraju w ostatnich dziesięcioleciach, mają też liczni działacze i publicyści obozu narodowego. Na podstawie zgromadzonych przez nich danych można by sformułować trzy wyznaczniki stosunku lóż do Polski: 1) nienawiść do niej, jako do kraju katolickiego, 2) obawę przed misją dziejową Polski, wynikłą z jej specjalnych warunków duchowych i materialnych, wreszcie 3) chęć zawładnięcia Polską i użycia jej dla swych celów. To ostatnie wiąże się ściśle z koncepcją *Judeo-polonii*, tj. przekształceniem nas w naród helotów, naród podbity i zasymilowany do psychiki żydowskiej.

Masoneria naprzód zniszczyła Polskę, przeprowadzając uknuty w mózgach semickich i illuminacko-masońskich plan rozbioru, następnie przykuła ją do siebie, pomagając jej — nader iluzorycznie zresztą — w walce o niepodległość, aby na koniec usadowić się w samym rdzeniu odrodzonego państwa.

W Polsce masoneria jest zakonspirowana więcej niż gdzie indziej. Ale już za Sasów i „króla Stasia" liczba braci dochodziła u nas do 5.000. Były później okresy zastoju w życiu lóż, jednakże odziedziczyliśmy po okresie niewoli potężny bagaż tajnych związków, mafii i agentur. Głupstwem było by wierzyć w tych kilkanaście lóż i 400 braci, podanych w encyklopediach. Ilość lóż, zwłaszcza uwzględniając żydowskie, liczyć trzeba w setki, a ilość masonów na tysiące. W Polsce istnieją wszystkie typy zasadnicze masonerii; szczególnie rozpowszechniony jest Ryt Szkocki Dawny Uznany. Są też liczne loże okultystyczne, jak Martyniści, Różokrzyżowcy, ryt Misraim i in.

Ostatnio, jak chodzą słuchy, doszło u nas do fuzji lóż zależnych od francuskiego Wielkiego Wschodu oraz lóż powiązanych ściślej z masonerią anglosaską, między którymi trwa pewna rywalizacja, z wybitną zresztą przewagą tej drugiej. Jest to wysoce niebezpieczne dla naszej niezależności od agentur międzynarodowych. Wchodzimy w fazę groźnych zamachów mafii na suwerenność duchową i polityczną Rzeczypospolitej. Nakłada to na nas obowiązek czujności i walki bezpośredniej z machinacjami sił zakonspirowanych.

Jerzy Braun.

O niektórych przysłówkach i zaimkach

Modne jest obecnie traktowanie zagadnień filozoficznych metodą „gramatyczną". Otóż niemniej chyba ciekawe są wyniki ujęcia przeciwnego, t.zn. zastosowania metody filozoficznej do badań nad gramatyką. Dziś właśnie pragnę przedstawić czytelnikowi, obeznanemu z ogólną ekonomią Prawa Tworzenia, niektóre moje dociekania w zakresie przysłówków i zaimków. Rzecz to, naturalnie, bardzo szczegółowa, sądzę jednak, że warta uwagi. Bądź jak bądź, nigdy nie jest stracony czas, poświęcony zgłębianiu — choćby pośredniemu — tego szczytowego osiągnięcia myśli ludzkiej, jakim jest Prawo Tworzenia.

I. Przysłówek miejsca

Element neutralny.

Chodzi przede wszystkim o znalezienie przysłówka, który by odpowiadał najogólniej pojętemu umiejscowieniu. Będzie to niewątpliwie:

EN = GDZIEŚ.

Nie zawiera to żadnej określonej wskazówki, a zarodek biegunowości jest tu na razie zupełnie zneutralizowany. W następnych dwóch elementach będzie szło o wyraźne wydobycie tej utajonej biegunowości.

Element - wiedza.

Obecnie staramy się wydobyć z powyższego „gdzieś" przysłówek, wyrażający miejsce o ogólnych cechach wiedzy, jakimi są: samość, samorzutność itd. Będzie to:

EW = TU.

Istotnie, „tu" oznacza miejsce, najbliższe mówiącemu, determinowane właśnie przez obecność mówiącego, czyli, ogólnie mówiąc, przez obecność wiedzy. „Tu" jest, w znaczeniu miejsca, ośrodkiem, skąd promieniuje wiedza. Jest siedliskiem samości.

Element - byt.

Stosując analogiczne rozumowanie, łatwo dojdziemy do wniosku, że:

EB = TAM.

„Tam" to właśnie miejsce, gdzie mnie nie ma, miejsce niejaźni w stosunku do mnie. Nie wymaga to bliższych wyjaśnień, toteż przechodzimy od razu do dalszych rozważań.

Element - powszechna - wiedza.

Teraz więc będzie chodziło o znalezienie takiego przysłówka, w którego treści przysłówki Gdzieś i Tu zespalałyby się w ten sposób, że stanowiłoby to wynik końcowy, ostateczny, przechylania się pojęcia Gdzieś na stronę pojęcia Tu. Takim przysłówkiem będzie:

EPW = TUTAJ*.

Mamy tu na myśli rosyjskie *siudà*, t.zn. kierunek „ku tutaj". Ponieważ nie mamy po polsku specjalnego przysłówka na oznaczenie tego pojęcia, piszę „tutaj" z gwiazdką, dla odróżnienia od EW = TU, które to ostatnie po prostu oznacza miejsce, a nie cel jakichś kierunków. TUTAJ* w pełni odpowiada pojęciu powszechności, bo się w nim zestrajają w s z y s t k i e możliwe kierunki, których metą jest „tu".

Element - powszechny - byt.

Składnikiem o cechach wręcz przeciwstawnych do powyższego, jest:

EPB = TAM*.

Tu również brak odpowiedniego przysłówka polskiego zmusza nas do wybiegu graficznego. Chodzi zaś o rosyjskie *tudà*, czyli o kierunek „ku tam". TAM* zestraja w sobie wszystkie kierunki, biegnące skądkolwiek bądź, ale zbiegające się we wspólnej mecie, którą jest pewne określone „tam".

Element - przejściowa - wiedza.

Z kolei chodzi nam o przysłówek, który by posiadał zasadniczą naturę przysłówka TUTAJ*, ale zarazem był zdolny pełnić funkcję, analogiczną do tej, jaką normalnie pełni TAM*. Po zastanowieniu się dochodzimy do wniosku, że:

EpW = STĄD.

To wymaga pewnych komentarzy. Przypuśćmy, że jesteśmy w tej chwili w Warszawie, która przeto stanowi nasze „tu". Rozpatrzmy pęk szlaków: Warszawa — Kraków, Warszawa — Wilno, Warszawa — Łódź itd. Zasadniczą, powszechną i *jedyną wspólną* cechą tych kierunków jest to, że się wszystkie stykają z Warszawą. Otóż STĄD również posiada tę cechę zasadniczą; wszystkie kierunki, idące Stąd, stykają się z „tu", jako ze swoim punktem wyjścia. Ale zarazem pełnią one funkcję TAM*, gdyż wszystkie wiodą do „nie tu", do jakichś nieokreślonych „tam".

Element - przejściowy - byt.

Rozumowanie analogiczne do powyższego, mutatis mutandis, wskazuje, że:

EpB = STAMTĄD.

Wszystkie kierunki Stamtąd mają punkt wyjścia wspólny w „tam".

Byt w wiedzy.

Szukamy teraz przysłówka, którego treść wyrażałaby zasadniczo pojęcie EW = TU, ale już zmodyfikowane przez częściowy wpływ EB = TAM. Będzie to:

BwW = DOTĄD i ODTĄD.

Naturalnie, w znaczeniu miejsca, nie zaś czasu.— Oto siedzę na ławce. Ławka ta stanowi moje „tu". Ale na to moje „tu" wpływa w pewnym znaczeniu pojęcie „tam". Pod wpływem tego „tam", moja ławka staje się wyznacznikiem pewnego „dotąd" i „odtąd". Dziedzina „tam" z jednej strony dociera aż do mojej ławki, DOTĄD, i urywa się, aby z drugiej strony tejże mojej ławki, ODTĄD, rozciągać się dalej. Widzimy więc, że istotnie owo TU, nie przestając zasadniczo być sobą, zostało zmodyfikowane w pewnej mierze przez TAM.

Wiedza w bycie.

Tutaj powinna zajść modyfikacja odwrotna, czyli modyfikacja pojęcia TAM przez częściowy wpływ pojęcia TU. Będzie to:

WwB = BLISKO i DALEKO.

Istotnie, w tym wypadku nieokreślone pojęcie TAM zostało zdeterminowane przez odniesienie, ustosunkowanie do pewnego określonego TU. Gdy jesteśmy w Warszawie (tu), i Pruszków i Charbin są zasadniczo TAM. Ale gdy do tych miast przeprowadzimy drogi od Warszawy, stwierdzimy na podstawie odnośnej długości tych dróg, że Pruszków jest nie tylko TAM, ale ponadto i BLISKO, Charbin zaś nie tylko TAM, ale ponadto i DALEKO.

Zbieg - celowy.

Szukamy pojęcia, w którym by się zbiegały harmonijnie i współdziałały, nie utożsamiając się jednak, pojęcia TU i TAM. Jest to:

ZC = ZEWSZĄD.

Jakoż przysłówek ten doskonale odpowiada pojęciu zbiegu i pojęciu celowości, wspólnej mety. Biegunowość ostaje się w dalszym ciągu, ani Tu ani Tam nie przestają być sobą, nie tracą swej odrębności, a jednak wykazują, że są zdolne do współdziałania. W ZEWSZĄD zbiegają się wszystkie kierunki, które jednym wylotem stykają się z TU i z TAM, drugim zaś przytykają do wspólnej mety.

Jednakość - wieńcząca.

Tutaj wreszcie chodzi o pojęcie, które stopi w sobie, przede wszystkim, oba elementy powszechne, czyli TUTAJ* i TAM*, poza tym zaś wszystkie inne elementy. Będzie to niewątpliwie:

JW = WSZĘDZIE.

Jest to systematyczne odtworzenie i rozwinięcie elementarnego pojęcia GDZIEŚ. We WSZĘDZIE ustaje biegunowość. WSZĘDZIE jest to zarazem i tu i tam, pojęcie to wyczerpuje w ogóle wszelki możliwy zakres umiejscowienia, jako też i szlak wszelkich możliwych kierunków. Toteż stanowi ono rzeczywiste uwieńczenie systematu.

W ten sposób wyczerpaliśmy całą część teoretyczną. Z kolei przechodzimy do Technii.

Narzędzie - powszechna - wiedza.

Zasadniczo, jak czytelnik z pewnością pamięta, narzędzie techniczne powstaje w ten sposób, że się odnośny EPW lub EPB pozbawia ich charakterystycznej indywidualności. — Puśćmy wodze fantazji. Wielce uczona ryba znalazła ciało topielca, położyła je na stole laboratoryjnym i skrzętnie opisuje: „ W dolnej części ciało tej istoty rozwidla się na dwa podłużne wałki. Jeden z tych wałków mierzy tyle a tyle centymetrów długości. Drugi uległ widocznie uszkodzeniu, gdyż jest przełamany w połowie"... itd. Ryba ściśle opisuje to, co *jest dane*. Otóż w schemacie Prawa Tworzenia odpowiada to Teorii, i stanowi bezpośredni przedmiot poznania. Ale oto w pewnej chwili ryba ruszyła prawdziwie twórczym dowcipem i doszła do przekonania, że owe wałki prawdopodobnie służyły topielcowi do chodzenia! Teoretyczny wałek stał się dla niej *nogą*, technicznym narzędziem. Ryba zastosowała pośredni punkt widzenia, przez włączenie idei celowości. Przestała opisywać, co jest jej dane, a stwierdza, co *należy uczynić*, ażeby móc praktycznie skorzystać z owych wałków. W schemacie Prawa Tworzenia odpowiada to Technii.

Przekonawszy się, że noga jest narzędziem do chodzenia, ryba myśli słusznie: „Aha, w takim razie nie ma właściwie znaczenia przypadkowy fakt, że w tym moim specjalnym okazie jedna z nóg jest złamana, że noga ma właśnie taką a taką długość. Mogłaby być krótsza, mogłaby być grubsza — to wszystko nie gra zasadniczej roli. Ważny jest tylko fakt, że nogi służą do chodzenia. A skoro taki cel przyświecał Rozumowi, który tę istotę stworzył, to musiał On dać nogi wszystkim innym istotom tegoż typu. Widzę więc tu pewną powszechność. Pominę więc wszelkie cechy indywidualne a zbadam nogi tylko w tym zasadniczym, co je czyni narzędziami do chodzenia".

Po tej przydługiej lecz pożytecznej odbieżni, bierzemy wzór z owej uczonej ryby i możliwie oczyszczamy pojęcie TUTAJ* z wszelkiej indywidualności. Wówczas mamy:

NPW = SKĄDINĄD,

czyli „z innego miejsca". — Jan, Piotr i Paweł stają na łące i przerzucają się piłkami. Dla Jana indywidualnie, kierunkowi TUTAJ* odpowiada tylko piłka, pochodząca od Pawła lub Piotra, a lecąca do Jana. Dla Pawła zaś... itd. Dla Piotra znów... itd, Natomiast powszechnie dla każdego z nich nadchodzące do nich piłki odpowiadają pojęciu SKĄDINĄD.

Narzędzie - powszechny - byt.

Bez powtarzania analogicznych zupełnie argumentów, stwierdzamy po prostu, że:

NPB = DOKĄDINĄD.

Narzędzie - przejściowa - wiedza.

Chodzi nam tu o przysłówek, który by zasadniczo odpowiadał pojęciu Skądinąd, ale by pełnił funkcję, normalnie pełnioną przez Dokądinąd. Jest to:

NpW = TĘDY.

Bo zastanówmy się. Na to, aby kierunek Skądinąd, a więc nie z tego miejsca, gdzie ja jestem, mógł zawrócić Dokądinąd, musi on koniecznie zawadzić o moje Tu. Czyli musi koniecznie przejść TĘDY.

Narzędzie - przejściowy - byt.

Mamy więc zasadniczy kierunek Dokądinąd, a więc nie wiadomo gdzie poczęty, ale zarazem pełniący funkcję Skądinąd, a więc właśnie poczęty w pewnym „tam", nie zaś „tu". By odpowiedzieć tym dwom warunkom, musi on koniecznie przejść przez pewne „tam", które stanie się dlań nowym punktem wyjścia do kierunku Skądinąd. Tym szukanym przysłówkiem jest oczywiście:

NpB = TAMTĘDY.

Racje - dostateczne.

Oczyszczamy pojęcie „zewsząd" z indywidualności i otrzymujemy przysłówek:

RD = RAZEM,

oczywiście w znaczeniu miejscowym, w znaczeniu rosyjskiego *wmiestie*. Dzięki temu RAZEM stwierdzamy, że, mimo swą biegunową różność, Tu i Tam mogą harmonijnie współistnieć. To dostarcza racji dostatecznej do stworzenia całego systematu.

Prawo - najwyższe.

Chodzi o pojęcie hierarchicznie najwyższe i już nieprzekraczalne, z którego wypływa, przez konkretne rozwinięcie, bezwzględnie cały rozpatrzony systemat. Będzie to:

PN = W PRZESTRZENI.

Gramatycznie, nie jest to wprawdzie przysłówek. Ale to nie powinno stanowić przeszkody. Chodzi o pojęcia, nie o słowa, których to ostatnich może braknąć w tym czy owym, albo na razie i we wszystkich językach. Pojęciowo „w tym miejscu“ na przykład jest takim samym przysłówkiem jak i „tutaj“.

Problemat - powszechny.

W przysłówku, którego obecnie szukamy, muszą się streszczać wszystkie w ogóle pytania, jakie można ukształtować w całym niniejszym systemacie. Jest to, rzecz prosta:

PP = GDZIE?

Kanon - genetyczny.

Kanon genetyczny w ogóle określa wspólną formę wszystkich elementów, czyli nie indywidualny, ale wspólny ich stosunek do siebie nawzajem. Wydaje się, że w niniejszym systemacie:

KG = OSOBNO.

Istotnie, charakteryzuje to formę, odpowiednią dla każdego z wyżej ustalonych składników.

II. Przysłówek czasu

Element - neutralny.

Niniejszy systemat rozpatrzmy nieco zwięźlej, odsyłając dociekliwego czytelnika po analogiczne argumenty do systematu poprzedniego.

EN = KIEDYŚ,

nie w znaczeniu łacińskiego *olim* lub polskiego *niegdyś*, ale w ogóle w znaczeniu jakiegoś bliżej nie oznaczonego czasu.

Element - wiedza.

Chodzi o czas, najbliższy osobie mówiącej, o czas, w którym właśnie działa jego wiedza. A zatem:

EW = TERAZ.

Element - byt.

Tym elementem będzie, rzecz prosta:

EB = WTEDY,

w znaczeniu przyszłości i przeszłości.

Element - powszechna - wiedza.

Szukamy pojęcia, w którym by nieokreślone Kiedyś przechyliło się krańcowo na stronę określonego Teraz. Sądzę, że będzie to:

EPW = DOPIERO TERAZ.

Istotnie, mamy tutaj zakończenie wszystkich procesów, które dążyły do Teraz. Nadaje ono pojęciu Teraz wagę szczególną, wyjątkową, odcinającą od wszelkich innych chwil.

Element - powszechny - byt.

Przez całkowitą analogię wyznaczamy:

EPB = DOPIERO WTEDY.

Element - przejściowa - wiedza.

„Dopiero teraz“ musi tu pełnić funkcję normalnego „Dopiero wtedy“. Ponieważ czas w ogóle ujmujemy jednokierunkowo — od przeszłości poprzez teraźniejszość ku przyszłości — więc naturalnie, w danym wypadku „Dopiero wtedy“, które zasadniczo może się odnosić i do przeszłości i do przyszłości, będzie musiało być wzięte jedynie w znaczeniu przyszłości. Szukanym więc przysłówkiem będzie:

EpW = NADAL,

przy czym zastrzegam, że wbrew częstym wykroczeniom przeciw poprawności językowej, *nadal* nie = „w dalszym ciągu“, ale: „od teraz, od tej chwili“. Znaczy ono to samo co franc. *dorénavant,* ros. *wpried‘, otnynie.* Nadal oznacza proces, rozpoczęty Dopiero teraz, a zmierzający ku pewnemu przyszłemu Dopiero wtedy.

Element - przejściowy - byt.

Tym razem, z tychże względów jednokierunkowości Czasu, „wtedy“ musi wystąpić wyłącznie w znaczeniu przeszłości. Szukanym przysłówkiem będzie:

EpB = OD WTEDY
= franc. *dès lors* = ang. *ever since* = ros. *s tiech por.*

Byt w wiedzy.

Zupełnie analogicznie do tegoż elementu w poprzednim systemacie, wyznaczamy:

BwW = ODTĄD i DOTĄD,

oczywiście w znaczeniu czasu, nie zaś miejsca.

Wiedza w bycie.

Szukanymi tu przysłówkami będą:

WwB = PRZEDTEM i POTEM, WCZEŚNIEJ i PÓŹNIEJ.

Zbieg celowy.

Chodzi o pojęcie, harmonijnie zestrajające pojęcia Teraz i Wtedy, ale nie utożsamiające ich jeszcze. Będzie to przysłówek:

ZC = WCIĄŻ.

Zaznaczam, że wbrew pozorom, „wciąż“ nie jest bynajmniej tym samym co „zawsze“. Wciąż oznacza po prostu, że pewna niezmienna treść ciągnie się poprzez wielość odrębnych chwil, odrębnych czasów. Więc na przykład: „wciąż choruję“ znaczy, że choruję i dziś i wczoraj i przedwczoraj, natomiast nie znaczy koniecznie, że będę chory również jutro, a już w żadnym razie nie znaczy, bym chorował przed stu laty, ani że będę chorował za lat sto. „Zawsze“ zaś oznacza, we właściwym użyciu, tyle co: „w każdym czasie“.

Jednakość wieńcząca.

Uwagi sprzed chwili doprowadzają nas od razu do wniosku, że:

JW = ZAWSZE.

Z kolei zajmiemy się Technią.

Narzędzie - powszechna - wiedza.

„Dopiero teraz“ nosi wybitne cechy indywidualności, ponieważ „teraz“ jest określane wyłącznie przez odniesienie do pewnej indywidualnej wiedzy.

Tutaj usiłujemy usunąć tę cechę. Otrzymujemy przysłówek:

NPW = JUŻ (albo NARESZCIE, W KOŃCU itp.).

Istotnie, JUŻ oznacza to samo zasadniczo, co Dopiero teraz, z tą różnicą, że może być stosowane do różnych czasów, byleby owe czasy stanowiły „dopiero teraz“ dla kogoś. Więc na przykład: „W zeszłym roku Paweł zrozumiał już, że...“ oznacza, że dla Pawła zeszły rok stanowił owo „dopiero teraz“, w którym Paweł zrozumiał.

Narzędzie - powszechny - byt.

Podobneż względy wskazują, że:

NPB = JESZCZE NIE.

Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że to pojęcie czysto negatywne i że przeto nie powinno było znaleźć tu miejsca, podobnie jak nie uwzględniliśmy negatywnych pojęć: nigdy, nigdzie itp. Niesłusznie. „Jeszcze nie“ tylko formalnie jest zaprzeczne. Treściowo zawiera ono treść pozytywną. Bo porównajmy. Zaprzeczne pojęcie „teraz nie“ nie pociąga żadnej treści pozytywnej; to co *teraz nie* jest, może też w ogóle nie być. Natomiast JESZCZE NIE wskazuje, że coś musi nastąpić, jest oczekiwane, przewidywane.

Narzędzie - przejściowa - wiedza.

Będzie to JUŻ, poniekąd pełniące funkcję JESZCZE NIE.

NpW = W DALSZYM CIĄGU.

W rzeczy samej. Jeśli na przykład „uczę się w dalszym ciągu“, znaczy to, że JUŻ się uczę, ale JESZCZE NIE nauczyłem się, i dlatego nie przerywam nauki.

Narzędzie - przejściowy - byt.

JESZCZE NIE, poniekąd pełniące funkcję JUŻ.

NpB = TYMCZASEM, NA RAZIE itp.

Na przykład: „Mieszkam na razie na wsi“ wskazuje, że JESZCZE NIE mieszkam w mieście, ale że przewiduję czas, gdy JUŻ w mieście zamieszkam; i tylko z tego względu uważam swój pobyt na wsi za tymczasowy.

Racje - dostateczne.

Powtarzając te same wywody, co przy RD w poprzednim systemacie, wyznaczamy:

RD = WSPÓŁCZEŚNIE.

Prawo - najwyższe.

PN = W CZASIE.

Problemat powszechny.

PP = KIEDY?

Kanon genetyczny.

KG = KOLEJNO (w czasie).

III. Zaimek osobowy

Element - neutralny.

Mowa jest tu o zaimku, oznaczającym jakąś bliżej nie oznaczoną osobę. Będzie to, rzecz prosta:

EN = KTOŚ.

Element - wiedza.

Osoba możliwie bliska.

EW = TEN,

w znaczeniu francuskiego *celui-ci*.

Element - byt.

Osoba dalsza, nie ta oto.

EB = TAMTEN,

w znaczeniu francuskiego *celui-là*.

Element - powszechna - wiedza.

Skojarzenie pojęć „ktoś“ czyli jakaś osoba w ogóle, oraz „ten“ czyli ta oto, najbliższa możliwie osoba. Będzie to oczywiście zaimek:

EPW = JA.

Element - powszechny - byt.

Skojarzenie pojęć „ktoś“ oraz „tamten“, czyli osoba nie ta oto, osoba inna niż ta oto. Będzie to zaimek:

EPB = ON,

no i — naturalnie — ONA, ONO, ale nie ma potrzeby rozpatrywać tu płci.

Element - przejściowa - wiedza.

Zrazu wydaje się niepodobieństwem, by mogło istnieć jakieś pojęcie, przejściowe od JA do ON. A jednak istnieje. Polega to na obiektywizacji własnej jaźni. Po polsku nie posiadamy takiego zaimka, przynajmniej w mianowniku. Po francusku będzie to:

EpW = SOI.

Bo istotnie, kiedy „gardzę *sobą*“, „nienawidzę *siebie*“, „życzę *sobie*“ — traktuję własne *ja* jakby to był ON, t.zn. przedmiot, a nie podmiot mojej wiedzy.

Element - przejściowy - byt.

ON, poniekąd pełniący funkcję JA. Będzie to:

EpB = TY.

Jakoż istotnie, Ty jest to osoba, zasadniczo równoznaczna z ON, gdyż będąca nie - mną; jednakże osoba ta została dopuszczona do mego świata wewnętrznego, do takiej wspólnoty ze mną samym, jaka normalnie przysługuje tylko właśnie mnie samemu. Gdy mówię lub rozmyślam o NIM, jestem zamknięty w sobie; gdy mówię z TOBĄ, otwieram wrota do mego świata wewnętrznego. Nawpół żartem dodajmy, że przecież i dosłownie, pewien z daleka się przechadzający ON, aby stać się TOBĄ, musi zbliżyć się do mnie.

Byt w wiedzy.

Modyfikacja pojęcia TEN przez wpływ pojęcia TAMTEN. Będzie to zaimek:

BwW = SAM,

w znaczeniu franc. *même*, nie zaś *seul*. Tutaj wpływ pojęcia TAMTEN jeszcze mocniej uwydatnił samość, nie - inność osoby. Ja sam, ty sam, on sam — wszystko to zaznacza mocniejsze odseparowanie się danych osób od innych.

Wiedza w bycie.

Modyfikacja pojęcia TAMTEN przez częściowy wpływ pojęcia TEN. Po polsku brak odpowiedniego zaimka.

WwB = franc. ON, niem. MAN.

Tutaj bardzo indywidualne pojęcie Tamten zostało zuniwersalizowane przez wpływ elementu-wiedzy. *„On dit“* oznacza, że mówi nie koniecznie tylko tamten Paweł, ale również tamten Jan, tamten Piotr, a nawet i ten Czesław.

Zbieg - celowy.

Harmonijne współdziałanie tej oto osoby (TEN) i innych lub innej osoby (TAMTEN). Będzie to zaimek:

ZC = MY.

Tu pragnę uprzedzić możliwy zarzut. Spyta kto, dlaczego nie uwzględniłem zaimków w liczbie mnogiej: oni, wy, a uwzględniam liczbę mnogą osoby pierwszej. Otóż różnica jest bardzo dobitna. „Wy“ nie wnosi nic specyficznie nowego do pojęcia „ty“. Po prostu ty + ty + ty... = wy. Podobnież on + on + + on = oni. Natomiast „my“ to bynajmniej nie ja + ja + ja! to właśnie harmonijny zbieg celowy ja i nie ja.

Jednakość - wieńcząca.

W rozpatrzonym przed chwilą zaimku „my“, biegunowość pomiędzy TEN a TAMTEN nie została skasowana. Zniknie ona dopiero tutaj.

JW = WSZYSCY.

Że istotnie znika tu polarność, to wynika chociażby z faktu, że można powiedzieć: wy wszyscy, oni wszyscy, my wszyscy, ale można też powiedzieć po prostu i wszechogarniająco: WSZYSCY.

Przechodzimy do Technii.

Narzędzie - powszechna - wiedza.

Pomysłem zgoła już fantastycznym wydaje się próba oczyszczenia zaimka JA z cech indywidualności. Toteż odpowiedniego zaimka nie znajdziemy. Jednakże szukanemu pojęciu będzie odpowiadało:

NPW = WŁASNA OSOBA.

To pojęcie w potrzebnym nam tu znaczeniu, rzeczywiście daje się odnieść do każdego indywidualnego JA.

Narzędzie - powszechny - byt.

Szukanemu pojęciu dobrze odpowiadają zaimki:

NPB = INNI (INNY), DRUDZY.

Narzędzie - przejściowa - wiedza.

Własna osoba uprzedmiotowiona tak, by się funkcjonalnie upodobnić od Innych, Drugich. Będą to wyrażenia konwencjonalne, jak:

NpW = NIŻEJ PODPISANY, AUTOR NINIEJSZEGO, MÓWIĄCY TE SŁOWA itp.

Narzędzie - przejściowy - byt.

Tutaj komuś Innemu, Drugiemu przypisujemy posiadanie takiej samej osoby własnej jaką my posiadamy, czyli podmiot. Temu pojęciu zdaje się odpowiadać złożony zaimek:

NpB = SAM W SOBIE.

Racje dostateczne.

MY, możliwie oczyszczone z cech indywidualnych. Będzie to:

RD = KAŻDY.

To pojęcie wskazuje, że pomimo swą biegunową rozbieżność, TEN i TAMTEN mogą współistnieć i w pewnej mierze upodobnić się do siebie.

Prawo - najwyższe.

Pojęcie, z którego się wyłonił cały rozpatrywany systemat. Odpowiedniego zaimka nie ma, ale jego rolę gra rzeczownik:

PN = OSOBA.

Problemat - powszechny.

PP = KTO?

Kanon - Genetyczny.

KG = INDYWIDUUM.

Cz. Jastrzębiec - Kozłowski.

W stulecie ukazania się „Anhellego“

„Jesteśmy synami narodu szlachetnego i idziemy do ojczystej ziemi obiecanej, a jest ona ziemią obiecaną nie dlatego, że winne grona w niej będą większe niż gdzie indziej i że w niej mleko i miód płynąć będzie — ale dlatego, że zapowiedziano nam na Golgocie, iż *prawda zwyciężyła* i że my przeto w sukcesyę dokonanej prawdy onej wchodzimy“. Jeśli na początku artykułu o „Anhellim“ przytaczam tu słowa Norwida, wypowiedziane na lekcjach o Słowackim, to pragnę nawiązać myśli swoje do idei najprzedziwniejszego utworu Słowackiego, utworu, który Z. Krasińskiemu na wieść o zgonie poety takie oto kazał wypowiedzieć zdanie w liście do Norwida: „dowiedz się czy nie zostawił wiadomości co do nagrobku, jeżeli nie, to połóżcie mu napis *„Autorowi „Anhellego“* a ten jeden wystarczy dla zapewnienia mu sławy na pokolenia przyszłe“.

Na ten sąd Krasińskiego o „Anhellim“ wpłynęły niewątpliwie nie tylko przedziwne piękno i czar poematu, ale także i rozległe głębie idei, jakie łączyć się dają z „ofiarą serca“ Anhellego.

Dziś jako naród skończyliśmy swoją wędrówkę ziemską do ojczystej ziemi obiecanej, ale czy weszliśmy już w „sukcesyę dokonanej prawdy“? W epoce przejściowej dziejów, w której skłócona ideowo ludzkość na mieczu się wspiera, kultowi siły i maszyny służy, czyż nie wydają się anachronizmem, przeżytkiem, słabością i niedołęstwem *dzieje* duszy, zmagania się jej wewnętrzne o prawdę życiową? Na podbój świata wyruszają dziś, jak nigdy przedtem w dzie-

jach, milionowe falangi żołnierzy, szeregi kierowane jednolitą wolą wodzów, z których jeden takie oto słowa rzuca w tłum: „Będę najbogatszym człowiekiem na świecie. Będę posiadał bowiem rzecz największą, jaką może w ogóle posiadać człowiek: będę p o s i a d a ł c a ł y n a r ó d“. Czyż w tej epoce, w której naród bywa przez władców jak rzecz posiadany, nie wyda się błahym i naiwnym rojeniem *idea ofiary* czystego serca, całopalenie duszy czystej, dokonane na odkupienie win narodu i ludzkości?

Zaiste, od idei Golgoty do idei podboju świata przez miecz i zniszczenie jest tak daleko, że można się przerazić, patrząc na rozległe obszary mroków, zalegających dusze, opętane mistyką zła, krwi, maszyny, przemocy.

Nie dajmy się jednak przekonać zwolennikom przewagi mieczowej, że idea ofiary jest naiwna, nie skuteczna i niewspółmierna z celem, jaki się pragnie przez nią osiągnąć, dopóki bliżej i gruntowniej nie rozpatrzymy jej.

Jakie pojęcia i problemy ducha łączą się z ideą ofiary?

Ofiara jest wartością — oto pierwsze twierdzenie — wartością w świecie ducha. Cały rodzaj ludzki związany jest paktem wzajemnej solidarności — naucza chrześcijańska religia i wyjaśniają najgłębsze systemy filozoficzne. Związani jesteśmy w doczesności per fas et nefas, ale o wiele silniej związani jesteśmy w wieczności. Więc nigdy wywikłać się nie będziemy mogli z powszechności świata, a szczęście nasze potwierdzone być musi szczęściem ogółu.

Z problemu moralnej solidarności rodzaju ludzkiego wyłania się problem ofiary i poświęcenia jako nieodłączny postulat postępu ku kresom stworzenia. Ofiara ma zadość uczynić zagniewanej Opatrzności, obrażonej przez ludzki grzech i błąd. Ma być ekwiwalentem za kłamstwa wobec Prawdy, za zło wobec Dobra, za brzydotę naszą moralną wobec Piękna.

Wartość ofiary mierzy się godnością ofiarującego — oto stwierdzenie drugie. Ofiarę za ludzkość złożyć mógł tylko Syn Boży, równy majestatem i godnością Przedwiecznemu.

Ofiara więc jest zasługą, którą odkupić można cudze winy — oto stwierdzenie następne. Zasługa jest tym większa, im ofiara jest bardziej czysta, bezinteresowna. Wykonana samorzutnie, wzięta przez Chrystusa jako cel sam przez się w spełnieniu praw moralnych, odkupuje przez Golgotę świat. Chrystus rozerwał pakt ziemskiej szczęśliwości, zawarty ze złą zasadą przez ludzkość i dokonał zbawienia jej. Męka Pańska stała się źródłem odrodzenia rodzaju ludzkiego.

Misterium ofiary wplata w swą akcję sferę nadziemską, dodając aspektowi ziemskiemu aspekt niebieski, przez co wytwarza się zamknięty krąg powszechności rodzaju ludzkiego, dźwigającego się wzwyż mocą i wielkością jednostek dzielnych, czystych i świętych. Ziemski negatyw ofiary, czyli niszczenie się jednostki wyjątkowej, wywołuje pozytyw niebieski: budowanie się Królestwa Bożego.

Ofiara schłania życie indywidualne, życie to jednak nie może być zgaszone,bo patronuje mu prawo najwyższe wszechświata: miłość. Ogień trawiący ofiarę przez miłość staje się ogniem ożywiającym. Życie indywidualne unicestwiając się w swej zasadzie i w swym kresie przez ofiarę, znajduje zarazem przez miłość swe rozwinięcie i swą moc. „I to — jak mówi Warrain — jest Problemat Powszechny zakładający się dla Miłości. Rozwiązanie polega na pewnym wznoszeniu się życia indywidualnego, kruszącym koło zamknięte indywidualności i promieniującym nieskończenie, tak że uczestniczy ono w życiu absolutnym i triumfuje w zatwierdzeniu swym chęci życia. Otóż to daje nam przeczuwać od strony Absolutu zstępowanie do Względności, by wszczepić w nią ów zaczyn absolutu, i ofiarę, przez jaką powstrzymuje on wszechmoc życia, która schonęłaby i strawiła wszelki twór. Rozdrabniając się niejako, by udzielić się życiom indywidualnym i kruszyć ich granice, stwarza on OBCOWANIE istot żyjących“.

Ofiara powstrzymuje wszechmoc życia od schłonięcia i strawienia wszelkiego tworu. W całej pełni przed oczyma naszymi staje teraz wartość ofiary na Golgocie i każdej ofiary człowieka. W misterium ofiary zasada władcza świata: Bóg, który jest Miłością, uczestniczy w całej swej potędze i powadze.

Słowacki, który się ustrzegł fałszywej, pseudomesjanicznej koncepcji Polski, jako Chrystusa narodów, w Anhellim przedstawił problem ofiary od strony właściwej, takiej, jak ją widzą chrystianizm i najszczytniejsze medytacje filozoficzne: Nie naród powalony, zbiorowisko jednostek omylnych i grzesznych winien zbawić i odkupić ludzkość, ale jednostka musi i może odkupić i zbawić naród.

Nie będziemy się zastanawiali, czy ofiara Anhellego jest *adekwatna* winie narodu, czy zasługą, jaką przez tę ofiarę Anhelli osiąga, odkupić może naród, gdyż „Anhelli“ jest tylko koncepcją artystyczną, i rozważania takie w stosunku do postaci fikcyjnej nie mają żadnego sensu; chodzi raczej o podkreślenie wartości idei poematu w momencie tragicznym całego narodu, w okresie niewoli, upadku i pohańbienia.

Niewątpliwie w narodzie na przestrzeni okresu niewoli żyły jednostki, których ofiara mogłaby być rzucona na szalę odkupienia narodu. Martyrologia Sybiru, więzienia, szubienice i prześladowania oto widoma i realna ofiara, jaką składał naród polski w swych najszlachetniejszych jednostkach.

Na przestrzeni 120 lat niewoli na ziemiach polskich i na „biegunie zamierzchu cywilizacji polskiej tj. chrześcijańskiej w Polsce“, jak nazywa Sybir Norwid, odgrywały się misteria ofiary polskiej, składanej przez Polaków na odkupienie win i odrodzenie narodu i na dzień zmartwychwstania.

Przerzut artystyczny od tych realnych faktów ofiary polskiej do postaci fikcyjnej Anhellego, dokonany przez poetę, należy do najprzedziwniejszych osiągnięć artyzmu. Mógł więc bez przesady mówić o „Anhellim“ Krasiński: „Potrzeba potęgi uroczej, genialnej, nadzwykłej, by Sybiru otchłań tak wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd... Piekło Sybiru nie przestające być piekłem, przybrało w *Anhellim* ułudę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętną zarazem“.

Ofiara okupić może winy narodu i przybliżyć dzień zmartwychwstania, oto prawda, jaką wieścił poeta narodowi. Nie giną czyny samorzutne, męki i cierpienia Polaków, ale Bóg odważa je na szali losów, — głosił krzepiące słowa Słowacki przez swój poemat. Hart cierpienia i ofiary przygotuje „dzień

łaski“ dla narodu, krew niewinna ofiar zleje się w jutrzenkę Przedświtu zbawczego.

Obojętne jest również dla wartości idei poematu zagadnienie, czy w postaci Anhellego widział poeta siebie samego i czy ofiarę z siebie uważał za wystarczającą dla odkupienia narodu. To są rozważania akademickie. Nic do istoty zagadnienia nie dorzucają. Niewątpliwie poeta, który idee mesjaniczne rzucał w naród, sam musiał najgłębiej oceniać walor tych idej i konieczność oraz potrzebę realizacji ich w swym życiu i przez swe życie. I tu dopiero, w całokształtcie życia poety i jego czynów, jest miejsce na sąd o „ofierze jego serca“,

„Anhelli“ jest artystycznym odwzorem idej mesjanicznych Słowackiego, poetycką miarą ofiary, składanej na ołtarzu Ojczyzny przez najszlachetniejsze jednostki. To był drogowskaz dla wielu w narodzie. Wypełnienie postulatu ofiary przynieść miało w konsekwencji wyzwolenie z niewoli. Spełnić posłannictwo ofiary, a dokona się odkupienie i odrodzenie narodu, oto co głosi „Anhelli“.

„Czyta się poetów, że tak powiem, w coraz głębszych głębiach — tak, że czytanie każdego arcydzieła jest nieskończone, aż przyjdzie dzień, w którym wszystkie konsekwencje jego aż do dna wyczerpną się, a wtedy gamma wtóra treści powstaje“ — twierdzi Norwid.

„Gamma wtóra treści“, jaka dziś około „Anhellego“ się owija, to zagadnienie ofiary, jaką naród wolny ma składać, aby wolność wieczystą zachował. Niechaj nas nie czaruje wolność wszechmocą swego życia, bo wszechmoc życia strawić i zniszczyć może samą wolność. Prawda życiowa, wyrażona przez misterium Golgoty, zanegowana w życiu realnym narodu znów przynieść może nam los fatalny.

Nie wyda się więc może dziwnym twierdzenie Foerstera: „Święci są ważniejsi, niżli maszyny parowe“..., „święci przywracali zawsze panowanie wartości prawdziwych, oni zachęcali do prostoty, do służenia drugim, oni dodawali odwagi do heroicznej surowości względem tego małego, hałaśliwego, obłędnego i nadętego ludzkiego „ja“, w ślad za którym idą na świat podłość, tchórzostwo, zapomnienie o obowiązkach i wszelkiego rodzaju zakłamanie i niedołęstwo“.

„Anhelli“ był i zostanie symbolem ofiary mesjanicznej. Strzeżmy się jednak, by prawda życiowa jaką symbolizuje, nie zmieniła się dla nas tylko w piękno estetyczne. Z przykładu literatury naszej ostatnich lat widzimy namacalnie, że estetyzm bierze górę w pokoleniu współczesnych poetów.

Utrzymywał St. Szczepanowski: *„U schyłku narodów prawda życiowa zamienia się na piękno estetyczne. Zamiast obowiązku realizacji w życiu, wystarcza uwielbienie artystyczne, przeniesienie obowiązku narodowego z życia powszedniego do krainy ideału, pozostawiając życie swoim brudom i błahostkom“. („Racyonalizm narodowy“).* Estetyzm skamandryczny i estetyzm awangardowy, upajanie się „pięknością formy“, uwielbienie dla wszelkich tricków estetycznych nowej poezji, to źródła rozkładu i rozpadu mocy Słowa.

Poezja współczesna naszych czołowych przedstawicieli poetyckiego stanu, to poezja zamknięta w karafkach. Poezja — przed którą się nie klęka i nie chyli czoła. „Z karafki napić się można, uścisnąwszy ją za szyję i pochyliwszy ku ustom, ale kto ze źródła pije, musi uklęknąć i pochylić czoła“ (Norwid).

Problem ofiary fascynował w równej mierze i Norwida, dał on temu wyraz w misterium „Wandy“ i „Krakusa“.

Sprawa Krakusa, to nie umiejscowiony w dziejach, określony w czasie i przestrzeni wypadek sporadyczny, to sprawa wszechludzka, kosmiczna: „Znana powieść o Smoku, którego zabił Krak czy Krakus, nieustannie w dziejach prawdziwa, albowiem potykania się takowego z potworem ślady idą przez wieki“,.. zaznaczy Norwid w komentarzach do Krakusa. Wysublimowana ofiara Krakusa, który ginie jako nieznany zbawca z ręki brata, zabiwszy pierwej smoka, zbliża się w szlachetności swego obrysu do niezgłębionej w prawdzie wyrazu ofiary na Golgocie.

Norwid bohaterowi swemu prócz czystości serca dodaje ramię bohaterskie, przez ten rys pojęcie ofiary jeszcze bardziej pogłębia, niż Słowacki w „Anhellim“.

Chrystus nie był tylko biernym męczennikiem. Był twórcą czynu męskiego,który odwrócił bieg dziejów ludzkości. Nie bierna kontemplacja marzyciela wzięła w nim górę, ale czynna, męska wola działania i przeistoczenia świata miarą fizycznego, bohaterskiego męczeństwa.

Tego rysu bohaterskiego brakuje Anhellemu.

Dopełnić więc trzeba ideał ofiary Anhellego rysem bohaterskim Krakusa, by w czasach decydujących, kiedy czyn jedynie na losach świata waży, czynu bohaterskiego nie zabrakło w narodzie naszym.

„Bierny ideał męczeństwa, uświęcenie cierpienia, nie byłby świata chrześcijańskiego uratował od zagłady. Uratowało uświęcenie energii w ideale czynnym bohaterstwa“ (St. Szczepanowski). Dziś świat chrześcijański jest bliższy zagłady, niż w wiekach upadku imperium rzymskiego i srożenia się barbarzyństwa Hunnów, Gotów i Germanów. „Świat dzisiejszy pędzi krokiem szybkim ku straszliwej katastrofie dziejowej“ — krzyczą ku nam słowa nie dawno zmarłego Zdziechowskiego, który był wcieleniem sumienia narodowego, wcieleniem ideałów narodu, jego najszlachetniejszych dążeń. W czasach tych potrzeba nam będzie, jak żadnemu innemu narodowi, ofiary męskiej i trudnej.

Oto wiązanka myśli w stulecie ukazania się najprzedniejszego poematu, pisanego tęczą słowa „niepodobnego do niczego“, a w świecie naszej poezji narodowej lśniącego blaskiem diamentu — idei mesjanicznej.

Antoni Madej.

Kult jednostki a kult prawdy

Niewola jest to formy postawienie
Na miejsce celu; oto uciśnienie.

C. Norwid

Kult jednostki nie może być postawiony ponad kultem prawdy. Jest to aksjomat moralny, zasada normatywna, obowiązująca zawsze i wszędzie, we wszystkich epokach historii. Nieprzestrzeganie tej zasady zemścić się musi okrutnie na każdym narodzie. Jedynie Bóg może być przedmiotem kultu. Człowiek, choćby największy, ma jedynie prawo do szacunku, prawo do miłości ludzkiej, i prawo do sławy.

W sercach naszych istnieje poryw do czci jednostek wyjątkowych, mędrców, proroków i bohaterów. Jest to uczucie szlachetne i altruistyczne, świadczące o dobrych skłonnościach rodzaju ludzkiego. Nie trzeba go wygaszać, przeciwnie podsycać i ochraniać, a małoduszny instynkt odbronzowniczy, płynący z zawiści i lęku przed wielkością, powinien być wytrzebiony. Jednakże cześć ta musi pozostawać zawsze pod kontrolą zasady wyższej, jaką jest PRAWDA, ten ostateczny cel i kategoryczny imperatyw rozumu.

Jednostka powinna być uczczoną podług miary swych zasług, nie mniej i nie więcej. To jest postulat prawdy. Bez tej busoli prawdy stosunek nasz do ludzi wyjątkowych rzucony zostaje na burzliwe flukta nieuzasadnionej nienawiści lub upokarzającej histerii. Toteż kult prawdy musi być kryterium najwyższym, tak dla osobnika jak dla zbiorowości. Wdzięczność nasza bowiem dla tych, co się zasłużyli ojczyźnie, ma zawsze tendencję do przerodzenia się w kult, na mocy „prawa ciążenia" naszych uczuć. I wtedy ta jedna zasada ocali nas od zbłąkania: kult jednostki nie może być postawiony ponad kultem prawdy.

Kult jednostki zawsze jest sporny. Ma on swoje przypływy i odpływy, jak to wiemy z historii. Natomiast prawda jest bezspornym przedmiotem kultu dla wszystkich. Możemy się mylić, uznając coś za prawdę, możemy się różnić między sobą w przekonaniach: co jest prawdą? Ale prawda sama w sobie, prawdziwość, którą przydajemy pewnym zasadom i normom, w którą wierzymy, stoi ponad wszystkim. Tylko zło absolutne może knuć zamach na prawdę.

Trzeba tedy znaleźć wyjście pozytywne z dylematu: kult jednostki czy kult prawdy? Jest nim ustalenie właściwego stosunku między jednostką a prawdą, stosunku takiego, w którym prawda ostaje się *nienaruszona*, a cześć dla jednostki wyjątkowej *zabezpieczona*. Stosunek ten da się ująć w dwu tezach: 1) Prawda, aby stać się żywą i twórczą, szuka personifikacji, uosobienia, 2) Jednostka o tyle jest wielką i godną czci, o ile służy prawdzie. Termin: POSŁANNICTWO wyraża najlepiej istotę tego stosunku między jednostką a prawdą.

Podmiotem i nosicielem historycznym prawdy jest w czasach dzisiejszych naród (kiedyś może będzie nim ludzkość, lecz dziś jeszcze to nie nastąpiło). Oczywiście naród jest tym podmiotem narazie tylko potencjalnie. Aktualizuje tę potencjalność w miarę jak wyzwala się z ślepej determinacji przeznaczenia i dojrzewa do świadomego posłannictwa. I, jako podmiotowi posłannictwa przysługuje narodowi PRAWO PRAWDY. To prawo prawdy jest atrybutem narodu absolutnym i nienaruszalnym; władza która się na nie targnie, która je zaprzeczy, rozwiązuje tym samym naród z obowiązku posłuszeństwa i daje mu legalną podstawę do rewolucji.

Aby naród mógł działać, musi mieć centrum woli kierowniczej. Ponieważ w większej grupie, a nawet między dwu osobami może powstać różnica, powodująca paraliż tego ośrodka woli, rządzić powinna *jednostka*, będąca zarówno zwierzchnikiem państwa jak wodzem narodu. Za czyny swoje jednostka rządząca, jako jednostka moralna może być odpowiedzialna tylko przed Bogiem i przed historią, czyli przed zasadą STWORZENIA i przed zasadą POSTĘPU. Ta wolność i odpowiedzialność najwyższa wyposaża jednostkę, uosabiającą posłannictwo narodu, w PRAWO AUTORYTETU. To prawo znika z chwilą zgonu jednostki, ponieważ nie może ona już czynnie działać (być centrum woli kierowniczej); natomiast winna pozostać w narodzie dobrowolna i samorzutna cześć dla jednostki heroicznej, o ile czyny jej były wielkie i sprawiedliwe, tj. zgodne z prawdą i posłannictwem narodu. Oczywiście narodowi przysługuje zawsze prawo *wolnego sądzenia* o czynach jednostki zmarłej. Bo prawda jest wieczna, a jednostka doczesna. Prawda uświęca czyny jednostki, którą czcimy jako symbol, personifikację i realizatora prawdy.

Prawda nie powinna być abstrakcją, lecz żywą, samostwarzającą się rzeczywistością. To też kult prawdy, oderwanej od praktycznej realizacji groziłby narodowi bezpłodnością historyczną i kulturalną. I, na odwrót, kult jednostki sam dla siebie, oderwany od kultu prawdy, której jednostka ma służyć, grozi narodowi najstraszniejszą niewolą i tyranią. Wyzwoleniem z tego impasu jest *cześć dla wielkości ludzkiej ze względu na jej zasługi wobec prawdy*. Mieści się w tej zasadzie zarówno ochrona czci jednostek wyjątkowych jak prawo narodu do wolnej oceny zasług jego zmarłych wieszczów, mędrców i bohaterów.

Tu odpowiedź na pytanie: czy wolno utożsamiać jednostkę z narodem. Tożsamość ta jest tylko relatywna. Wielki człowiek i naród nie mogą się stopić z sobą, pozostają zawsze do siebie w relacji zewnętrznej, jako indywidualność i powszechność. Podstawą ich zespolenia jest czynnik trzeci, nadrzędny, jakim jest SŁUŻBA PRAWDZIE. Tu źródło genetyczne zasady, sformułowanej na wstępie: kult jednostki nie może być postawiony ponad kultem prawdy.

Jakież bowiem byłyby skutki takiego nieuzasadnionego odwrócenia stosunków? — Unicestwienie wolnej woli narodu, przez ustawowe odebranie mu prawa prawdy, wepchnęłoby go na drogę fatalizmu, uniemożliwiając pełnienie samorzutne posłannictwa. Zaczęłyby bowiem działać, niejako automatycznie, trzy prawidła psychosocjologiczne, których zniwelowanie czy zahamowanie byłoby niepodobieństwem, nawet przy wysokim stopniu dojrzałości politycznej społeczeństwa i przy maksymalnej dobrej woli rządzących — a mianowicie: a) prawo impasu, b) prawo zatoru, c) prawo deprawacji elity.

Prawo impasu, które można by również nazwać prawem improduktywu czy sterylizacji duchowej,

polega — w danym wypadku — na tym, że jednostka, będąca przedmiotem kultu, już nie żyje i nie może nic więcej stworzyć, a uniemożliwia jednocześnie wolną grę sił nowych. Powstaje wówczas konserwatyzm i reakcyjność najgorszego gatunku. Jeśli bowiem w Rosji sowieckiej zabija się wszelką niezależną myśl i swobodną twórczość cytatami z Marksa czy Lenina, to jest to tyrania doktryny, istności ponadczasowej, która żyje wiecznie z chwilą, gdy raz została wytworzona; nie przestaje ona tedy być źródłem inspiracji, źródłem wartości. Tymczasem jednostka realizatorska, wódz, reformator, czy prawodawca tworzy sam indywidualnie, dopóki żyje, dopóki działa jego intuicja i wola. Gdy znika jego osobisty urok, oddziaływanie i siła decyzji, nie może on już zapłodnić swych następców. Nowe, niespodziewane sytuacje potrzebują nowych myśli i nowych ludzi. Tymczasem ta nowa twórczość staje się, w ramach urzędowego kultu, czymś karygodnym i niedozwolonym.

W inny sposób działa *prawo zatoru*. W społecznościach ludzkich nie może istnieć absolutna zgoda na kult danej jednostki. Nawet kult Boga powoduje rozłam na wierzących i niewierzących, cóż dopiero kult człowieka, z jego wadami i niedociągnięciami, z jego ograniczeniem w czasie i przestrzeni. Oficjalna legalizacja kultu musi tedy pogłębić rozłam na wielbicieli i sceptyków, a przez zepchnięcie tych drugich w sferę prywatną, wytworzyć potężne ciśnienie od dołu. Gdy odmienna opinia o jakiejś zasadzie czy kulcie, niż opinia prawnie ustanowiona, zostanie uznana a priori za przestępstwo, pogwałcone zostaje prawo narodu do wolnej oceny. Następstwem tego jest wytworzenie się atmosfery zakłamania i buntu. Stopniowo resentyment przenosi się z przedmiotu kultu na cały system. Zator dogmatu gromadzi niebezpieczne napięcia malkontenctwa i nienawiści.

Prawo deprawacji działa wówczas obustronnie: na rządzonych i na rządzących. Zahamowanie twórczości i swobody sądu zatruwa zarówno organizm społeczeństwa, jak mózg i ośrodki woli w państwie. Naród przestaje być podmiotem historii, a staje się przedmiotem swoistej „obsesji" ze strony spadkobierców urzędowych jednostki, będącej przedmiotem kultu. Każda elita bowiem ma tendencję do utrzymania się przy posiadanej władzy. Jeśli dla tego celu musi ona wydobyć z siebie maksimum własnej energii twórczej, sytuacja jej jest moralnie zdrowa. Jeżeli jednak może ona osiągnąć ten cel bez wysiłku, przy pomocy kultu, którego jest arcykapłanem, deprawuje się nieuchronnie. Władza zamienia się wtedy w system niezdrowego pasorzytnictwa na nazwisku i kulcie jednostki, a naród pchany jest do nienawiści i przełomu. Bo prawa, omówione powyżej działają ze ślepym automatyzmem i nie sposób wydostać się z nich inaczej, jak przez gwałtowną zmianę stosunków.

Fatalizm tego stanu rzeczy polega na tym, że władza pozbawiona oparcia w powszechnym uznaniu społeczeństwa i we własnym autorytecie, *musi wciąż zwiększać natężenie kultu*, który jest dla niej punktem zaczepienia. I odpowiednio do tego *zwiększa się natężenie resentymentu* do niej w narodzie. Powstaje tak sztuczna równowaga sił destrukcyjnych, jak w naboju dynamitowym. Naród, zapędzony w taką matnię, znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie, zawieszony jest bowiem w próżni, między niewolą duchową a samozniszczeniem.

Prędzej czy później dojść musi do tego, że obsługę kultu ujmuje w ręce zakonspirowana mafia pasorzytów, która używa go, jako narzędzia przeciwko PRAWDZIE, tj. przeciwko posłannictwu, będącemu racją bytu narodu. Dowolnie interpretując kult i jego obrazę, może ona przy jego pomocy tępić wszelkie niezależne i twórcze siły w narodzie i rozdmuchiwać nienawiść między obozami i współobywatelami, w myśl cynicznej zasady: divide et impera. Wykolei tak naród z jego drogi dziejowej, uczyni gò biernym przedmiotem eksploatacji, osłabi fizycznie i moralnie, aby wreszcie wydać go na łup tajnych mocy międzynarodowych.

To zagadnienie na pozór teoretyczne, ma swoją szczególną wagę w dobie współczesnej, którą można by nazwać „epoką wodzów". W Polsce jest ono równie aktualne, jak i gdzieindziej. Postawienie i rozwiązanie tego zagadnienia, umiejętne sharmonizowanie kultu jednostek wybitnych z klimatem swobody i niezależności duchowej, jest rzeczą podstawową dla narodu, który dąży do wielkości i prawdy.

J. B.

Z kraju i ze świata

Tragiczny naród

Po zaspokojeniu słusznych roszczeń węgierskich, włącznie z Rusią Zakarpacką, która jest związana wszystkimi węzłami wspólnoty gospodarczej i tradycji historyczno-politycznej z niziną pannońską, dawna Czechosłowacja przemieni się w państwo dwunarodowe, okrojone do połowy i liczące niecałe 10 milionów mieszkańców. O ile naturalnie związek ze Słowacją okaże się trwały. Powstały bowiem nieporozumienia między obu narodami, na tle tzw. „Słowacji morawskiej".Językiem i religią Słowacy bliżsi są Polakom niż Czechom, toteż niewykluczone jest powstanie niezależnego państwa słowackiego pod gwarancją Polski. Przy takim obrocie rzeczy Czechy skurczyłyby się do swych ścisłych granic etnograficznych, stając się małym półwyspem słowiańskim, otoczonym niemal zewsząd morzem niemieckim. Faktycznie lub nawet formalnie oznaczałoby to wejście „Bohemii" (tak nazywają dziś nowe państwo czeskie niektóre angielskie gazety) w skład Trzeciej Rzeszy, a więc powrót do roli wasala Niemiec, którą naród czeski pełnił niestety wielokrotnie w ciągu wieków.

Tragiczny naród. Zawsze był źle rządzony. Nie miał nigdy wielkich wodzów i mężów stanu. W ich miejsce pojawiali się i stawali na jego czele gracze i kombinatorzy, w rodzaju Zygmunta Luksemburczyka i Edwarda Benesza. Przy całej swej trzeźwości i praktyczności, która dała mu wysoki poziom dobrobytu, prowadzi ten naród — a raczej jego niefortunni przywódcy — zawsze politykę chybioną, źle pomyślaną i niekonsekwentną. Zdrowy rozum nie uchronił go nigdy od wejścia na błędne ścieżki, na których czekała go klęska. Widocznie zdrowy rozum nie wystarcza do prowadzenia dobrej polityki, widocznie warunkiem jej jest posiadanie idei przewodniej wyższego rzędu. Wbrew pozorom utylitaryzm w polityce mści się, a idealizm wygrywa.

Tragiczny naród. Marnował wielkie okazje historyczne, które mogłyby go wydźwignąć wysoko i oprzeć jego byt na trwałych fundamentach. Tak było za Wacława II, który miał szanse stworzenia imperium czesko-polskiego gdyby był dorósł do idei unii równych z równymi, jaką potem umieli powziąć panowie małopolscy, rozwiązując genialnie na długie wieki problem stosunków Polski z Litwą (zresztą już za Bolesława I-go, który dał Mieszkowi I-mu za żonę swoją córkę Dąbrówkę, chrzest Polski mógł stać się okazją do unii dwu narodów słowiańskich). Tak było i za pierwszych Luksemburczyków, kiedy to królowie czescy osiągnęli godność cesarzy rzymskich. Wszak po zrzeczeniu się całego śląska przez Kazimierza Wielkiego na rzecz Czechów, cesarz Karol Luksemburczyk mógł znów doprowadzić do trwałego związku narodów polskiego i czeskiego, gdyby nie to, że on sam zniszczył sojusz polsko-czeski przez swe konszachty z Zakonem krzyżackim. A przecież Polska wchodziła już wówczas w okres największej potęgi, i związek z nią mógł uchronić Czechy od wejścia — po wygaśnięciu dynastii luksemburskiej — w skład monarchii habsburskiej, a więc od utraty niepodległości na szereg stuleci. Dopiero ruch husycki zrozumiał doniosłość idei słowiańskiej i wyciągnął rękę do Polski. Fatum jednak chciało, że różnice religijne stanęły na przeszkodzie unii czesko-polsko-litewskiej i Polska kanclerza Oleśnickiego odrzuciła tę koncepcję (co zresztą jest wielką winą historyczną dumnego tego księcia Kościoła).

Tragiczny naród. Brak mu umiaru, realnego poczucia swoich sił i możliwości. Nie umie zachować równowagi: albo ponosi go pycha i wówczas chce on odgrywać za wielką rolę w Europie, zbyt ryzykowną dla czynnika tak słabego terytorialnie i liczbowo, to znów depresja spycha go z wyżyn na dno kompleksu mniejwartościowości, który go rzuca w objęcia Niemiec. Jak Zygmunt Luksemburczyk na tronie cesarzy rzymskich, tak i Benesz na fotelu prezydialnym Ligi Narodów, dają nam widowisko tragicznej impotencji. Nie stoi za nimi ani realna siła fizyczna, ani potęga wielkiej idei. Muszą nadrabiać bluffem karcianym, intrygą i szukaniem silnych gwarantów, którzy się później okazują fikcyjnym oparciem. Wtedy wali się cała wydmuchana wielkość, jak się to stało ostatnio na naszych oczach, nie po raz pierwszy w dziejach Czech.

Ten brak poczucie rzeczywistości i brak idei skazuje naród czeski na ustawiczną huśtawkę polityczną: od Niemiec i do Niemiec. Całe dzieje Czech wypełnia ta beznadziejna szarpanina. Raz spotykamy ich w szeregach wojsk niemieckich, ciągnących na Polskę, jak to było za Chrobrego i za Krzywoustego, to znów w obozie antyniemieckim, lub wprost w pożodze buntu samodzielnego przeciw potędze germańskiej, jak za taborytów albo przed Białą Górą. I zawsze u mety czeka klęska,z której naród czeski wychodzi pomniejszony w swej sile biologicznej, podcięty u samych korzeni etnicznych swego bytu. Zadajmy sobie trud żmudnych obliczeń, a przekonamy się, że proporcje ilościowe między Czechami a ich sąsiadami wciąż się zmniejszają na ich niekorzyść. Jest ich z wieku na wiek coraz mniej, kurczy się również obszar ich zasiedlenia. Oby nie spotkał ich wkońcu los Łużyczan, utopionych w morzu teutońskim.

Wrażenie „tragedii omyłek" umacnia przy tym fakt, że Czesi idą do obozu antyniemieckiego zawsze wtedy, gdy w Niemczech zaczyna się wzrost siły i ekspansji, a powracają pod ich skrzydła, gdy Niemcy są bliscy załamania. Tak było za Luksemburczyków, którzy związali się z Zakonem krzyżackim przeciw Polsce, w przededniu jego sromotnej klęski. Tak było w okresie wojen husyckich, kiedy Habsburgowie wchodzili w apogeum mocy i wyciągali już rękę po koronę św. Wacława. Tak było przed Białą Górą i powtórzyło się teraz. A zanosi się na ponowną omyłkę dziejową, bo oto Czesi rzucają się ze skrajności w skrajność, oddając się w opiekę Hitlerowi w przededniu wielkiego wzrostu potęgi i dynamiki słowiańskiej Polski, która sięga już po prymat duchowy i militarny w Europie Środkowej.

Tysiąc lat nie wystarczyło, by nauczyć naród czeski tej jednej prostej prawdy: jedynym środkiem zahamowania ekspanzji germańskiej i warunkiem nieodzownym wypełnienia przez Czechy ich misji historycznej jest związek z Polską. Prawda, że i Polacy z trudnością mogli to zrozumieć. Ale Polacy są silniejsi i ostaną się bez tego związku, Czesi bez niego zginą. Polskę zresztą kosztowało ubieganie się o Czechy w dawnych wiekach tyle strat i roztrwonionej energii, że musi ona zachować w tej dziedzinie pewną rezerwę. Inicjatywa należy do Czechów.

Czym tłumaczyć omijanie przez oba narody tego jedynie trafnego rozwiązania wielkich i wspólnych im problemów historycznych? Oto tym, że Polacy i Czesi stanowią dwa przeciwstawne bieguny w Słowiańszczyźnie: pierwsi reprezentują element a u t o n o m i i, drudzy element h e t e r o n o m i i, nic dziwnego też, że nie mogą dojść do zgody. Prędzej porozumieją się ze sobą Polacy i Rosjanie, mimo

tak olbrzymich przeciwieństw kulturowych, niż Polacy i Czesi. A jednak utożsamienie i zespolenie tych dwu biegunów jest warunkiem jedności słowiańskiej.

Zagadnienie słowiańskie

Powiedział Mickiewicz w „kursach literatury słowiańskiej": „albo naród słowian wciągnięty zostanie na zdobywczy tor Rosji — albo Polacy zdołają go porwać za sobą". Zagadnieniem tym zajmuje się szerzej Stanisław Kolbuszewski w art. „Na rozstaju", w n-rze 43 poznańskiej „Kultury" (artykuł ten jest już 13-tym z cyklu poświęconego stosunkom polsko-czeskim). Zdaniem jego odmienność stosunku Czech i Polski do idei słowiańskiej, wynikła z różnic w ich psychice narodowej i w warunkach historycznych ich bytu. U Czechów świadomość odrębności narodowej była słaba, zrodziła ją bierna reakcja na napór germański, stąd skłonność do rozpłynięcia się w morzu rasy. Polska, przeciwnie, miała oddawna bardzo silne poczucie swej indywidualności, jako naród i odrzucała ze wstrętem myśl o jej zatraceniu. „Czeskiej mistyce słowiańskiej zrodzonej na podłożu narodowej słabości, przeciwstawiła się polska mistyka mesjaniczna, z naciskiem i tryumfem wiarę w moc narodową wynosząca...". „Gdy dla Czechów idea słowiańska była odskocznią dla ocalenia siebie a brak indywidualizmu narodowego kazał im marzyć o Słowiańszczyźnie jako przystani zbawienia, w której zatracą własną jaźń na rzecz rasy, to dla Polski wprost przeciwnie — i Słowiańszczyzna i świat cały był tworzywem dla urobienia na obraz i podobieństwo polskie...".

Kolbuszewski stwierdza więc niedwuznacznie, że to m e s j a n i z m polski był tym znamieniem indywidualności i pobudką „wspaniałej izolacji", która przeciwstawiła nas całej Słowiańszczyźnie ciążącej do Rosji. Jest w tym ciekawa antynomia: ocalił nas przed „panslawizmem" ten sam mesjanizm, który jest właściwym twórcą i apostołem uniwersalnie pojętej idei słowiańskiej. I dobrze, że tak się stało. Bo tylko Polska ma w swojej filozofii absolutnej moc twórczą, która uczynić może ze Słowiańszczyzny narzędzie realizacji nowej ery w dziejach świata. Gdyby Moskwie udało się zniszczyć Polskę i jej mesjanizm, cały żywioł słowiański rozpadłby się w bezpłodności, nie przydałby się na nic.

Wrogie stosunki polsko - rosyjskie sparaliżowały na długie lata ideę Słowiańską. Wytworzył się impas. Ani Polska nie robiła nic w kierunku duchowego zawładnięcia innymi narodami słowiańskimi, ani Rosja nie mogła zbudować imperium wszechsłowiańskiego, ani Słowianie środkowo - europejscy, z Czechami na czele nie mogli odegrać tej roli, jaką przeznaczyły im dzieje. Ich umizgi do caratu pogłębiły tylko obojętność Polski dla kwestii słowiańskiej. A przecież tylko Polska posiadała ideowy i filozoficzny program w tej dziedzinie, zarysowany w dziełach swych myślicieli i poetów. Gwałt zadany Polsce przez Rosję pogrzebał na półtora stulecia sprawę jedności słowiańskiej. Dopiero teraz, gdy panslawizm rosyjski przestał istnieć, zastąpiony ideą komunistyczną i gdy filosowiecka Czechosłowacja rozpadła się a na jej miejscu wyrasta czeski ruch narodowy, otwiera się perspektywa na mesjaniczne imperium słowiańskie pod przewodnictwem Polski, ze stolicą nie w helleńsko-prawosławnym Bizancjum, lecz na parakletycznym Wawelu, opromienionym legendą chrystusowo-apollińską Stanisława Wyspiańskiego. Genialny poeta wiedział co czyni, gdy przenosił cudotwórczą mocą artyzmu Grecję nad Wisłę.

Dotychczasowy rasizm słowiański (o ile termin „rasizm" da się w ogóle zastosować do pojęcia „misji Słowiańszczyzny") miał trzy aspekty: a) rosyjski panslawizm, b) czeskie słowianofilstwo, c) polski słowianizm. Jedynie ten ostatni był oryginalną koncepcją dziejotwórczą, ugruntowaną na doktrynie filozoficznej i przynoszącą nowe światła ludzkości. Panslawizm nie miał własnej podbudowy rozumowej, czerpał swe natchnienie spekulatywne i religijne z neoplatonizmu i doktryn Ojców wschodnich. Slawofilstwo czeskie, choć wsparte na tradycjach husyckich w części socjalno-rewolucyjnych, a w części religijno-reformacyjnych, miało charakter mistyczno-uczuciowy.

Ale i Polska nie dojrzała jeszcze do swego posłannictwa w tej dziedzinie. Idea „przedmurza chrześcijaństwa" jest nazbyt ciasna. Obrona i apostolstwo statycznego katolicyzmu, zabarwionego fideizmem, nie da Polsce roli przodowniczej w Słowiańszczyźnie, podobnie jak prawosławny „Trzeci Rzym" rosyjskiego panslawizmu nie mógł pociągnąć za sobą katolickiej Polski. Narody słowiańskie należą do dwu kościołów: wschodniego i zachodniego. Toteż warunkiem powstania imperium słowiańskiego pod przewodnictwem Polski jest wysunięcie przez nią idei unii kościołów. Jest to punkt widzenia nadrzędny, wyższy ponad indywidualne stanowiska Rosji i Polski w Słowiańszczyźnie.

Jedynie mesjanizm polski, a w szczególności filozofia absolutna Hoene Wrońskiego, daje podstawę do usunięcia różnic dogmatycznych między kościołem rzymskim a kościołem wschodnim. Wynika z tego, że era słowiańska rozpocznie się nie wcześniej, aż Polska przyswoi sobie kreacje ideowe swej filozofji mesjanicznej, i w oparciu o nie podejmie swe wielkie posłannictwo.

Idea unii ma zresztą aspekt jeszcze szerszy. Można mówić o unii religijnej i o unii politycznej, od wieków przez Polskę stosowanej, jako typ rozwiązania idealistycznego najtrudniejszych zagadnień spornych, powstających między narodami sąsiadującymi. Uwieńczeniem obydwu tych typów unii jest idea „unii człowieka z Bogiem" zerwanej niegdyś wskutek upadku moralnego ludzkości, a możliwej do przywrócenia w nowej wspólnocie narodów mesjanicznych, urzeczywistniającej odwieczny ideał „Królestwa Bożego na ziemi". I tę ideę przyniósł światu mesjanizm polski w pojęciu nowego, trzeciego zrzeszenia moralnego, t.zn. unii absolutnej, będącej wiązadłem wyższego rzędu między związkiem Państw a Kościołem Powszechnym.

Czy typem charakterologicznym tej unii, będzie rosyjski z ducha s y n o d religijny, wyrażający w sobie bezosobową powszechność prawdy, czy starosłowiański w i e c, bliższy duchowi polskiemu i mający zabarwienie raczej polityczne, a wyrażający związek wolnych indywidualności narodowych, to zależeć będzie od siły inspiracyjnej tych dwu naczelnych w Słowiańszczyźnie dynamizmów kulturowych.

Polska a Niemcy

Nasze artykuły w poprzednim numerze, dotyczące kwestyj politycznych zostały w całości skonfiskowane, nie mogliśmy więc zapoznać Czytelników ze stanowiskiem naszym w sprawie Czechosłowacji. Konfiskaty tłumaczymy sobie naprężeniem politycznym, jakie wówczas panowało w Europie. Obecnie sytuacja jest w dużej mierze wyjaśniona, możemy więc wypowiadać się otwarcie.

Zasadniczy nasz pogląd na zagadnienie powyższe wyłożyliśmy już swego czasu w art. „Polska a kwestia czecho-

słowacka" („Zet", nr 8, r. III). Pogląd ten nie uległ zmianom, sformułowaliśmy go tylko w n-rze poprzednim nieco jaskrawiej. Program nasz był prosty: Wojna europejska o sztuczny twór zwany Czechosłowacją byłaby nonsensem i zbrodnią. Śląsk musi wrócić do Polski. Sudety należą się Niemcom, Węgrzy otrzymać powinni swe tereny etniczne, Słowacja niech zdecyduje sama czy chce związać swój los z Węgrami, z Czechami czy z Polską. Problemy sporne winna Polska załatwić wprost z Pragą, nie zaś via Berlin. Wreszcie: nie możemy dopuścić by Niemcy usadowiły się w okrojonej Czechosłowacji, gdyż było by to dla nas klęską polityczną, której nie zrównoważy odzyskanie Zaolzia. Czechy nie mogą być ani filosowieckie ani filoniemieckie, lecz winny wejść w bliższy związek polityczny z Polską. Należą bowiem do „sfery iunctim środkowo-europejskiego", które — jak to poświadcza historia — są naturalnym terenem ekspansji polskiej.

Ten program podtrzymujemy. Polska nie była Don Kichotem, gdy szła z Sobieskim pod Wiedeń, a z Warneńczykiem nad Morze Czarne. Pozostaje jednak kwestią otwartą wybór metod politycznych i dróg dziejowych, które Polska wybierze w swym pochodzie nad Dunaj. Istnieją tu trzy możliwości: 1) albo dalsze związki z t.zw. „mocarstwami demokratycznymi", które dziś może wykazałyby zrozumienie dla interesów Polski, gdyby szła ona nad Dunaj pod sztandarem orientacji antyniemieckiej, 2) albo bezwzględne związanie się z Niemcami, w roli pomocnika w budowie „Mitteleuropy", 3) albo wreszcie śmiała próba zbudowania tu własnej, polskiej, niezależnej konstrukcji.

Pierwsza koncepcja odpada, jest nie do przyjęcia. Nie chcemy pełnić roli żandarma demokracyj masońskich, odziedziczonej po Czechosłowacji p. Benesza. Druga pokrywa się mniej więcej ze stanowiskiem tak głębokiego i dalekowzrocznego polityka, jak Władysław Studnicki, znanego n.b. z „orientacji filoniemieckiej" (patrz: „System polityczny Europy, a Polska", — Warszawa 1935). Trzecia koncepcja wysunięta została przez nas przed szeregiem lat na łamach „Zetu" i stanowi nadal jeden z punktów naszego programu ideowego.

Przyznajemy chętnie, że bieg wypadków zaktualizował na razie raczej myśl W. Studnickiego niż naszą. Zakłada ona, że system polityczny Europy musi się opierać na mocnym trzonie, jaki stanowić może tylko sojusz Niemiec i Polski. „Polska i Niemcy mogą być podstawą olbrzymiego bloku środkowo-europejskiego, który musi objąć Austrię, Węgry, Czechy, Rumunię, Bułgarię, Jugosławię, Grecję, Turcję, oraz państwa nadbałtyckie — bloku, liczącego około 200 milionów mieszkańców" („System polit. Europy, a Polska", str. 232). W bloku tym Niemcy zajmą pierwsze miejsce, a Polska drugie. Wojna polsko-niemiecka byłaby nieszczęściem i osłabieniem dla obu tych narodów, natomiast ich współpraca może stworzyć niezwyciężoną potęgę. W układzie politycznym tej części Europy muszą zajść zasadnicze zmiany (rozbiór Czech, odbudowa Wielkich Węgier, rozbicie Jugosławii na części składowe itd.). Blok winien nawiązać stosunki z Włochami.

Jak dotąd, wszystko idzie po linii nakreślonej przez Studnickiego, w jego gruntownie opracowanym dziele (nawiasem mówiąc, niewykorzystanie dla dobra państwa mózgów takich, jak W. Studnicki, jest smutnym symbolem obecnego systemu i obecnej gospodarki zasobami duchowymi w Polsce). Podobnie jak zmarły myśliciel prof. Marian Zdziechowski, był Studnicki zawsze głosicielem idei wspólnej granicy polsko-węgierskiej, idei wysuwanej też od szeregu lat przez „Merkuryusz Polski". Jednakże koncepcja ta ma walor pozytywny tylko do czasu. Przejściowo udział Polski w niemieckim budownictwie Mitteleuropy jest konieczny. Ale jest to tylko etap, wstępna faza. Dysproporcje sił między Niemcami, a Polską wskazują wyraźnie, że Polska nie może na stałe związać się ideowo i politycznie z tym mocarstwem, gdyż korzyści jej z tej współpracy będą niewspółmiernie małe w porównaniu z olbrzymim wzrostem potęgi Niemiec i musi się to skończyć okrążeniem nas od południa i sprowadzeniem do roli wasala, jakim była Polska Chrobrego wobec „świętego cesarstwa".

A zresztą motyw polityczno-gospodarczy ustąpić musi przed motywem ideowym. Myśl Studnickiego operuje kategoriami „równowagi politycznej". Tymczasem Europa weszła już w okres walki idej, w epokę mesjanizmów narodowych. Polska nie może na długą metę poddawać się hegemonii hitlerowskiej doktryny rasistowskiej. Jest to sprzeczne z jej charakterem katolickim i z posiadaniem przez nią własnej misji historycznej, której nie może ona zaprzepaścić.

Zostawmy na boku obawy, tak powszechne w społeczeństwie polskim, że Niemcy po stworzeniu imperium germańskiego wezmą się do nas. Być może, że myśl Hitlera weźmie górę nad starą, partykularną tradycją junkierską, wschodnio-pruską. Być może, że Niemcy idą szczerze na współpracę z Polską i nie mają zamiaru, po stworzeniu niepodległej Ukrainy, wziąć nas z dwu stron w kleszcze. Lecz chodzi tu o rzeczy większe. Polska nie może przystać na niemiecki system organizacji Europy, jej posłannictwem jest stworzyć w niej s y s t e m p o l s k i. Wizja polsko-niemieckiego Lelum-Polelum mogłaby nas nie odstraszać jedynie wówczas, gdyby mesjanizm polski przeobraził duchowo mesjanizm niemiecki, oczyszczając go z cech destrukcyjnych i asymilując do polskiego poglądu na świat. Ale to chyba — utopia.

Przed paru laty, w art. „Dramat w czterech aktach" nakreśliliśmy przypuszczalny rozwój wypadków w powojennej Europie tak: 1) okres hegemonii francuskiej, 2) okres hegemonii niemieckiej, 3) okres „rosyjski", w którym nastąpi wielka krucjata Zachodu na Wschód, Rosja się rozpadnie i nastąpią olbrzymie przeobrażenia na terenie Eurazji, 4) okres „polski", w którym Polska — po załamaniu się systemu francuskiego i niemieckiego — wysunie swój plan reorganizacji Europy, oparty na ideach i zasadach religijno-politycznych jej mesjanizmu narodowego.

Jesteśmy w fazie drugiej. W okresie hegemonii francuskiej współpracowaliśmy z Paryżem, obecnie musimy współpracować z Berlinem. Ale przyjdzie kolej na wyzwolenie się z wszelkiego terminatorstwa i na „epokę polską" mgliście przeczuwaną przez naszych poetów romantycznych.

W przewidywaniu tego głosiliśmy konsekwentnie następujące tezy:

1) misja dziejowa Polski jest uwarunkowana jej położeniem między Zachodem a Wschodem;

2) polityka neutralności wobec bloków ideologicznych ma sens tylko jako wstęp do stworzenia między nimi własnego systemu;

3) idąc z Niemcami na Wschód, musimy strzec się przyjęcia ich ideologii, podobnie jak odrzuciliśmy sowiecką — gdyż mamy swoje własne, odrębne posłannictwo;

4) Polska bez oparcia o Europę Środkową byłaby zdana na łaskę Niemiec, w oparciu o nią stanowić będzie równoważną z nimi siłę (co jest korzystne i dla Niemiec, bo osłabia partię junkierską, a umacnia program Hitlera);

5) Polska ma zbudować imperium sławo-madziaro-bizantyjsko-bałtyckie, wsparte na północy o Finlandię, na południu o Bosfor, w przejściowej symbiozie z „Wielkimi Niemcami";

6) dopiero wtedy należy iść na wschód z programem prometejskim, rozbić Z.S.S.R. i stworzyć szereg państw niepodległych, z Ukrainą i Gruzją na czele;

7) następnie wysunąć ideę słowiańską i dążyć do stworzenia jednolitej konstrukcji politycznej w całej Europie środkowo-wschodniej.

Dziś to jeszcze utopia. Ale utopie w naszych czasach szybko się realizują.

Książki

K. W. Zawodziński: Zarys wersyfikacji polskiej.

Część I. Wiadomości wstępne o wierszu. 106 str. Wilno 1936.

Ze współczesnych teoretyków wersyfikacji, żaden chyba nie był bardziej powołany do napisania książki na ten temat, niż K. W. Zawodziński, doskonały znawca przedmiotu. — Nasi czytelnicy pamiętają być może drukowaną w Zecie, a napisaną na III Polski Zjazd Filozoficzny w Krakowie, pracę moją pt. „Przyczynek do systematyki języka“ W pracy tej starałem się wywieść, na podstawie Prawa Tworzenia, różne działy mowy wiązanej, a więc rytm, stopę, rym, metrykę itp. Obecnie stwierdzam z przyjemnością, że moje czysto aprioryczne wywody nieraz zbiegają się harmonijnie z aposteriorycznymi wnioskami p. Zawodzińskiego.

Temat książki jest zbyt specjalny, bym tu mógł omawiać go szczegółowo. Poprzestanę więc na notatce informacyjnej, sygnalizującej ukazanie się tej na prawdę cennej pracy.

„Mowa wiązana — pisze autor — jest „uniezwyklona“, zdeformowana, niewspółmierna z mową potoczną. Rozumiemy ją, ale treść dochodzi do naszej świadomości jakby poprzez łoskot bębna i dymy kadzideł szamana, poprzez akompaniament muzyki obrzędowej. Zestawienia słów zatracają charakter dowolności, przypadkowości, a ubierają się w pozór konieczności, w kształt formuły sakralnej, niezbędnej i nietykalnej. Wzruszenie, które jest treścią utworu, staje się czymś odmiennym od swego życiowego odpowiednika, gdy jest przez poetę zawarte w wiersz, nie bezpodstawnie od dawna zwany m o w ą b o g ó w“.

Rzeczy nazbyt znajome przestają się nam wydawać cudownymi. Dopiero przy uważniejszej analizie t.zw. mowy wiązanej stwierdzamy jej niebywałą dziwność. Poeta jest nieskończenie bardziej twórczy, a więc w o l n y, niż my, gdy się posługujemy swą szarą mową codzienną dla wyrażenia myśli potocznych. Ale zarazem forma, którą on sobie samochcąc narzucił, jest nieskończenie bardziej uległa przymusowi, skrępowana prawami. Tu więc wolność nie tylko się zlewa, ale wręcz się utożsamia z koniecznością. A tylko filozof potrafi ocenić niezmierną tego dziwność i doniosłość. Toteż nigdy nie przestaniemy podziwiać wspaniałego dwuwiersza Goethego:

> In der Beschränkung zeigt sich erst der Meister
> Und das Gesetz nur kann uns Freiheit geben.

Autor rozsnuwa temat na tle swej bardzo rozległej erudycji. Pisze językiem prostym, dydaktycznym. Gdy się z rzadka ucieka do przykładów czy metafor, są one na prawdę trafne, często dowcipne. Tak więc o wierszu:

„Wiersz ma właściwie sens dopiero w liczbie mnogiej, tak jak zdanie: „Człowiek jest podobny“ nie ma sensu bez dopełnienia „do czego“.

Albo znowu:

„W nauce o wierszu mamy do czynienia nie ze zjawiskami fizycznymi, akustycznymi lub filozoficznymi, dlatego też nie należy grzeszyć grubym „empiryzmem“, stosując metody przyrodnicze, a choćby zapożyczone z fonetyki eksperymentalnej. Jest to trochę tak, jakby kto rozumowanie geometryczne zastępował precyzyjnym mierzeniem narysowanych trójkątów“.

Wybornie powiedziane!

Niekiedy autor w kilku słowach wyjaśnia sprawę wcale zawiłą. Tak na przykład wersyfikacja francuska spotyka się u nas przeważnie z zupełnym niezrozumieniem. Jedni Polacy czytają wiersze francuskie „zwyczajnie“, tj. niewymawiając e m u e t; wówczas zupełnie zatracamy rytm, nie możemy się dorachować prawidłowości liczby zgłosek. Drudzy, ulegając potrzebie ucha, właśnie wymawiają wszystkie **e** na wzór niemieckiego **ö**; wówczas wpada się w wymowę śmieszną i przesadną, jakiej nigdy nie używają rodowici Francuzi. A Zawodziński wyjaśnia: „Pomimo, że w dzisiejszej potocznej wymowie francuskiej nie słyszymy **e** „niemego“.. i s t n i e j e o n o w ś w i a d o m o ś c i m ó w i ą c e g o (podkreślenie moje), czym się tłumaczy żywotność po dziś dzień... tradycyjnej wersyfikacji, gdzie **e** „nieme“ jest liczone za sylabę“. — Jakoż istotnie, wystarczy się wsłuchać w dobrą francuską deklamację, by przyznać słuszność Zawodzińskiemu.

Rozważania swe ujął autor w rozdziałach, poświęconych takim tematom jak: wiersz, rytmiczność, metrum, metryka, prozodia, metryka porównawcza (grecka, rzymska, romańska, germańska, rosyjska, no i najobszerniej polska), rym, strofika, rozczłonkowanie wierszowe.

Specjalnie się interesując językiem i wierszem rosyjskim, udzielił temu tematowi miejsca dużo, może nawet niewspółmiernie dużo.

Polacy w ogóle, pisarze polscy w szczególności, a już wydawcy nasi najosobliwiej — nie lubią długich wysiłków. Toteż można żywić niebezpieczne obawy, czy po „części pierwszej“ tej wartościowej pracy nastąpią zapowiedziane dalsze. A było by to nader pożądane.

Cz. J.-K.

Wacław Budzyński: Lufcik na świat:

Warszawa 1937. Nakł. wyd. „Jutro Pracy“. Str. 302.

„Nieprawda, że winniśmy się jako naród odgrodzić i pozamykać od obcych wzorów i że dopiero w takiej zabitej deskami parafii polskiej okrzepnie i zatriumfuje rodzima koncepcja przebudowy, „polonizm“ ustrojowy i kulturalny. Nieprawda, bo zawsze było i jest inaczej. Polak im gruntowniej się cywilizował, tym wyraźniejszym stawał się Polakiem. Od obcych przyjęliśmy religię katolicką, od obcych braliśmy system organizowania siły zbiorowej narodu. Pod wybitnym wpływem Europy i jej szkół rozwinął się wspaniale nasz wiek XVI. W skrócie — duch i państwo, Stefan Batory i Jan Kochanowski. Nigdy Polska nie była bardziej polską i w większej mocy twórczej na wewnątrz i na zewnątrz, aniżeli wówczas. Natomiast przesadna izolacja swojskości co dała? Sarmatyzm XVIII wieku, co stało się równoznaczne z ciemnotą i niewolą...“.

Oto wyznanie wiary autora w przedmowie. Stąd „Lufcik na świat“ jako tytuł i motto książki. W zasadzie można się zgodzić z tym stanowiskiem. Wszak to nie kto inny, tylko Brzozowski podjął walkę z sarmatyzmem i z ciasnotą horyzontów polskiej inteligencji radykalnej, zarzucając współczesnej sobie Polsce, że żyje na marginesie tworzącej się historii, w izolacji od prądów duchowych epoki i poza nurtem myśli, borykającej się z żywiołem „pozaludzkiego“. Sami zresztą podnieśliśmy bunt przeciw biernej wegetacji „zaścianka skamandrowego“, kisnącego w bezideo-

wości i oderwaniu od wielkiego starcia idej, będącego znamieniem naszych czasów.

Polska upadła dlatego, że nie umiała przetworzyć na myśl swej głębokiej intuicji posłanniczej, że nie zdołała nadać jej waloru uniwersalnego. Dopiero pęknięcie skorupy izolacji, przetasowanie się najlepszych i najaktywniejszych jednostek polskich z narodami Europy w dobie emigracji, nawiązanie kontaktu z powszechną problematyką ludzkości, przeżywającej „przesilenie romantyczne kultury" (określenie Brzozowskiego!), zbudziło myśl polską do najświetniejszych wzlotów.

Stało się tak dlatego, bo istotą polskości jest właśnie to, co ogólnoludzkie, powszechne i najbardziej elementarne w duchowej konstytucji świata. Polak odnajduje siebie i swe rdzenne piętno narodowe dopiero w prawdzie absolutnej. Posłannictwo Polski jest globowe. Obstawaliśmy zawsze przy tym. Polak ma skłonność do ogarnięcia wszystkiego naraz, z lotu ptaka i do oparcia tej wszystkości na principiach niewzruszalnych i bezwzględnych.

Ale epifenomenem psychicznym tej cechy jest polski eklektyzm i neutralność ideowa ż jednej strony a skłonność do wynoszenia wartości obcych ponad swoje z drugiej strony. Rozumiem więc słuszny „polonizm" tak, że powinniśmy — otwierając drzwi wszystkim pozytywnym wartościom zzewnątrz — poznać, zatwierdzić i postawić w mocy w pierwszym rzędzie to, co wielkie i zbawcze w naszym własnym skarbcu ideowym. Abyśmy nie oglądali się za plewą,gdy jesteśmy w posiadaniu zdrowych i płodnych ziaren w dorobku swojej tradycji i myśli filozoficznej.

Od tej dygresji polemicznej przechodzę już do omówienia treści książki. Jest ona zbiorem essayów współczesnych, drukowanych w „Jutrze Pracy". Zaliczyć ją można do działu publicystyki społeczno-politycznej, lecz o pewnym zabarwieniu historiozoficznym. Łączy bowiem te krótkie essaye i artykuły dążność wspólna: poszukiwanie ducha czasu i tego tajemniczego tygla historii, w którym myśl przetwarza się w ruch zbiorowy. Jak każdego Polaka, fascynuje Budzyńskiego czyn społeczny, aktywizm twórczy, geneza dynamizmów historycznych, technika realizacji prawd w życiu i organizacji mas ludzkich.

Autor unika systematyzacji. Wiedziony instynktem trampa życiowego (Budzyński spędził wiele lat na szerokich ścieżkach świata), dziwnie splecionym z mistyką „ksiąg pielgrzymstwa narodu polskiego", wnika on z łatwością w psychologię i dynamikę obcych środowisk, tam zwłaszcza, gdzie z chaosu wypadków rodzą się wielkie przeobrażenia socjalne i polityczne, kulminujące w ruchach narodowych. Ma on to wyczucie patosu dziejów, którego znowuż brak wielu Polakom (co dało asumpt tylu już cudzoziemcom do pisania paszkwilów na polską meskinerię i karłowatość duchową).

Kluczowym dla zrozumienia tej postawy Budzyńskiego jest, moim zdaniem, essay pt. „Rebelia mas". Mnogość, żywiołowe parcie liczby, oto co dominuje w jego świadomości, gdy chce dać definicję epoki. Powódź ludzi, oto co wyrasta ponad głowę geniuszom, doktrynom, rewolucjom i religiom współczesności. „Wybitny ekonomista Warner Lambert zwrócił uwagę, iż historia Europy przez pierwszych dwanaście stuleci od VI w. do r. 1800 doszła tylko do 180 milionów ludności, podczas gdy w fazie następnej do wojny europejskiej skoczyła do zawrotnej cyfry 460 milionów" (obecnie 530 milionów — przyp. mój). Sto lat, czyli trzy pokolenia wystarczyły, aby wywołać istną powódź ludzi...". Rewolucja populacyjna, rewolucja ekonomiczna, rewolucja polityczna. „Przyczyną fizyczną rebelii mas stały się skupiska. Wszędzie pełno ludzi. W miastach, w domach, w hotelach, w pociągach, w kawiarniach...". „Człowiek widzi się stale w masie. I czuje się coraz bardziej masą.. Odbywa się w nim przez to proces głębokiej przemiany wewnętrznej". „Przewidywał to Hegel, kiedy mówił, że masy nadchodzą". Zwiastował to pesymistycznie Nietzsche: „Widzę podnoszącą się pełnię morza nihilizmu". Rathenau ujmował tę rebelię mas określeniem: „pionowa inwazja barbarzyńców" (s. 188).

Istotnie, nie trzeba najścia żółtych, aby powtórzyła się sytuacja z czasów ginącego Rzymu. Nowa wędrówka ludów prze od dołu, a nie od stepu wschodniego. Ten fakt „ruchu mas", o którym mówi i Konrad w 2-gim akcie „Wyzwolenia", jest granicą oddzielającą dwie ery, jest przepaścią, poprzez którą już nie ma powrotu. Stare formy, dawne teorie rzeczywistości i wczorajsza technika organizacji życia nie jest w stanie opanować tego żywiołu, rozsypuje się w rękach, jest bezsilna. Morze z Apokalipsy podnosi się w górę, a z morza wyłania się bestia anarchii i nihilizmu. Jest to żywa nicość determinacyj, amorfia absolutna, którą ująć w karby i struktury nowego ładu wydaje się zadaniem ponad siły ludzkiego rozumu.

Budzyński mówi o walce tłumu i elity, liczby z jakością. Zwycięża liczba. Elita traci siły, miota się, idzie na dno. Europa i świat przedstawia dramatyczne widowisko prób rozpaczliwych racjonalizacji bezosobowego chaosu, nowej hierarchizacji i dyscypliny życia. Książka Budzyńskiego, to film epizodów tej gry: tu rewolucja nazistowska w Niemczech, tam „konstytucja gospodarcza" Roosevelta, tu kocioł imperializmu japońskiego, ówdzie „ruch stachanowski" w Sowietach, upiór mistyki produkcjonizmu, dyktatura Salazara w Portugalii, belgijski socjalizm de Mana i ofenzywa reksistów, geneza i duch faszyzmu italskiego, francuski eksperyment „Frontu Ludowego", wsparty na kośćcu C.G.T. (Confederation Generale du Travail), wyzwolenie bestii ludzkiej w rewolucji hiszpańskiej, karlizm i anarchizm, jako dwa oblicza swoistego „genius loci" półwyspu iberyjskiego. Między wierszami trafiające w sedno skróty, obrazy, określenia, sylwetki: Hitler — „natchniony podoficer", Stalin, człowiek techniki rewolucyjnej i mistrzowskiej znajomości sprężyn maszyny partyjnej. Węgry i ich problem rolny, przeobrażenia Austrii przed Anschlussem, Anglia wiktoriańska i Anglia idących przemian, problem nowego podziału kolonialnego świata, obok nowej doktryny własności i przebudowy socjalnej w ujęciu encyklik papieskich.

Anarchizmowi poświęca autor więcej miejsca, omawia poglądy Bakunina, Kropotkina, Abramowskiego. W związku z tym nasuwa się problem fałszywej i prawdziwej wolności, nie dość jasno sprecyzowany w książce Budzyńskiego. Mam na myśli specjalny ustęp pt. „Apostołowie nierządu". Ducha anarchii widzi autor wszędzie tam, gdzie wyzwala się człowiek z dyscyplin wyższego rzędu, by na to miejsce przyszły inne jarzma, stokroć cięższe, bazujące na złu i rozpasanych instynktach. Słusznie. To również rola masonerii, o czym pisze Budzyński w essayu „Antychryst puka do drzwi". Ale niesłusznie krzywdzi on przy tej okazji Lutra, pisząc: „Marcin Luter to wzór apostołów nierządu. Prototyp. Z niego brali przykład inni, będący drożdżami wszystkich fermentów świata" (s. 158).

Luter to inna kategoria. Dzieło jego nie wyczerpuje się w negacji. Jeśli i z niego przyszedł ferment, to był to niewątpliwie ferment twórczy. Bo Luter okupił rozstrój i rewolucję, jaką przyniósł Europie XV i XVI wieku, jedną wielką ideą pozytywną, która pchnęła naprzód postęp ducha. Luter powiedział: „Nie ma prawd zakazanych dla rozu-

mu". Postawił tedy znak równania między rozumem, tym boskim pierwiastkiem w człowieku, a p r a w d ą. Skorzystała z tego ludzkość, bo z tej zasady zrodził się rozwój potężny wiedzy nowożytnej, skorzysta z tego i Kościół, bo przebudzony rozum — okrężną drogą poprzez protestantyzm i reformy filozoficzne — powróci do prawdy objawionej, wzbogacając ją o nowe światła i metody, o nowe dynamiczne siły.

Sam zresztą autor stwierdza, że nowy porządek rodzi się z mgławicy ruchów wolnościowych, o zabarwieniu społeczno-radykalnym, skompensowanym i wchłoniętym przez nacjonalizm. Gdy dojrzewała potencjalnie sromotna kompromitacja III Międzynarodówki („lokai Stalina"), Sorel wyprowadzał już sprawę robotniczą poza socjalizm. Ten Sorel, z którego wywodzi Budzyński, moim zdaniem słusznie, i Mussoliniego i Kemala-Ataturka i Piłsudskiego i Hitlera. Wszyscy ci ludzie wyszli ze środowiska socjal-radykalnego, a więc geneza faszyzmu i jego filiacyj leży wszędzie na przecięciu nacjonalizmu i socjalizmu. Co zresztą świadczy o jego niewystarczalności i przejściowości, dostrzeganej przez autora. Toteż organizacja społeczeństwa proponowana przez faszyzm nie rozwiązuje nabrzmiałego problemu socjalnego epoki.

W ciekawym artykule: „Idea korporacji" ukazuje Budzyński takie etapy przeobrażeń tej organizacji społeczeństwa: ustrój cechowy — związki zawodowe — koncepcja związków mieszanych (współdziałanie pracodawcy i pracownika) — neokorporacjonizm. Otóż ten ostatni ma dwa wydania: faszystowskie i katolickie, z ducha encyklik. Korporacjonizm faszystowski popełnia ten błąd, że identyfikuje organizację państwa z organizacją społeczeństwa gospodarczego (Wielka Rada jako korporacja korporacyj). Korporacjonizm katolicki znowuż, eksperymentowany bez powodzenia w Austrii, a oparty na prawie naturalnym i pojęciu rodziny (1) rodzina indywidualna, 2) rodzina zawodowa, 3) rodzina terytorialna — naród), miesza aspekt ekonomiczny życia z jego aspektem religijnym. I klasa społeczna i naród są czymś innym, nie rodziną. Dopiero nacjonalizm posłanniczy, a ściślej: mesjanizm narodowy, może ustalić równowagę wartości, wyróżnić elementy: gospodarczy, polityczny, religijny i kulturowy w życiu narodu i wyznaczyć im właściwe miejsce w ustroju ideohierachicznym, który opierając się na powszechnym u z n a n i u B o g a daje jednocześnie pole nieskończonej samorzutności twórczej człowieka społecznego.

Budzyński przeczuwa te nowe perspektywy nacjonalizmu, sam bowiem pisze wielokrotnie, że nacjonalizm, jako ruch dziejotwórczy, jest dopiero w początkowej swej fazie genetycznej.

Styl książki jest śmiały, obrazowy, sugestywny. Charakterystycznym jego znamieniem jest ten sposób przedstawiania rzeczy, który można by nazwać p l a s t y k ą t e a t r a l n ą. Budzyński ma wybitne poczucie jedności czasu i miejsca. „Forum Mussoliniego", wskrzeszone forum rzymskie, to jakby „genius loci" faszyzmu, jako ruchu rdzennie italskiego. Podobnie wielkie zjazdy w Norymberdze robią na nim wrażenie wskrzeszonego obozu wojennego starożytnych Germanów. Nie rozwiązuje on problemów, lecz tylko wyprowadza je na scenę, daje im ruch i życie. „Światu i duchowi wieku ukazuje ich piętno". A to jest właśnie szekspirowskie określenie roli i misji teatru.

j. b.

Ks. dr Michał Klepacz: Ideały średniowiecza a czasy obecne.

35 str. Wilno. 1938. Nakładem dwutygodnika „Sprawy otwarte".

Ks. Klepacz, autor kapitalnej pracy o filozofii Cieszkowskiego, w dziełku niniejszym zadziwia kunsztem syntetycznego ujmowania bardzo rozległych obszarów rzeczywistości. Nikt się nie spodziewa, by w szczupłej, popularnej broszurce wyczerpał temat, wskazany w tytule; ale powiedział dużo i mądrze.

„Banałem jest twierdzenie, że znajdujemy się na rozstaju dróg historii, że przeżywamy okres przemian nie koniunkturalnych jeno, ale i organicznych". Wszystko się załamuje. Ale gdy jedni twierdzą, że kultury po tysiącletnim okresie rozwojowym dochodzą do maximum napięcia, po czym staczają się w dół, by się stać mierzwą dla nowej cywilizacji, inni wierzą, że kryzys jest tylko przejściowy, toteż bronią dotychczasowych podstaw myślenia i działania.

W ogólnej charakterystyce współczesności stwierdza autor, że głównymi cechami paru ostatnich stuleci były: wzmagający się krytycyzm, który, w braku zrozumienia idei absolutu, zwyrodniał w bezpłodny sceptycyzm; indywidualizm, w zasadzie słuszny, lecz który puszczony samopas, bez ograniczeń nakładanych przez moralność, wybujał w skrajny nacjonalizm z jednej strony, a w anarchiczny liberalizm gospodarczy z drugiej. W krytyce prądów, sprzecznych z nauką Kościoła, zachowuje autor duży umiar i obiektywizm; przeciwnikom własnego światopoglądu chętnie przyznaje znaczne nawet zasługi. Nie traci jednak z oczu, że ludzkość się rozprzęga, rozstraja, rozkojarza coraz bardziej; że ją czeka nieunikniona zguba, jeżeli się nie znajdzie punktu wspólnych dążeń.

Taki punkt istniał w średniowieczu — w tym długim okresie, który powierzchowna krytyka XIX wieku wzgardliwie poczytywała za czas mroków i przesądów tylko. Dziś poglądy na tę sprawę mocno się zmieniły. Wielu myślicieli upatruje głęboką analogię między tym, co dziś przeżywamy, a chaosem, jaki nastąpił po upadku cywilizacji starożytnej. Niektórzy z tych myślicieli, jak np. Bierdiajew, upatrują ratunek w prostym nawrocie do idei przewodnich średniowiecza. Autor to referuje, ale sam nie tak symplicystycznie ujmuje tę sprawę. Nie może przecież chodzić o kręcenie się w kółko. Cele ludzkości są w zasadzie proste i wyraźne. Gdyby Bóg wiódł nas ku nim niejako autokratycznie, droga nasza byłaby prosta jak strzała. To darowana nam wolność i autonomia wprowadza krętość. Proszę się zastanowić nad pięknym powiedzeniem Claudela: to myśmy odpowiedzialni za to, że Bóg swoje myśli proste musiał pisać na krętych liniach historii.

Co jednak było wielkiego i cennego w średniowieczu, tego nie powinniśmy odrzucać, owszem, trzeba to odtworzyć — i kontynuować. Za główne filary filozofii i etyki całego okresu pomiędzy cywilizacją starożytną a nowoczesną uważa autor dwóch olbrzymów: świętego Tomasza z Akwinu i świętego Franciszka z Asyżu; im też poświęca dwa piękne rozdziały.

W końcowej partii dziełka rozpatruje bezpośrednio już nas obchodzące kwestie praktyczno-społeczne. Bardzo godne uwagi jest to, co mówi o pracy. — „Większym osiągnięciem średniowiecza było mądre rozwiązanie problemu pracy. Przypomnę je. Celem przede wszystkim pracy było przeświadczenie, że jest ona ad maiorem Dei gloriam, a konsekwentnie dla polepszenia dusz przez to, że człowiek p r z e z w y c i ę ż a w n i e j s w o j ą b i e r n o ś ć i l e n i s t w o, s w o j ą s k ł o n n o ś ć d o g r z e-

c h u" (podkr. moje). Praca jest zbawienna, ale t y l k o wtedy, gdy jest twórczą. Okropnym grzechem kapitalizmu jest to, że pozbawił pracownika tej twórczości, wyjałowił pracę, tym samym czyniąc ją istnym przekleństwem. Ten galerniczy mozoł, który uprawiają fabryki dzisiejsze, ogłupia człowieka, rozjątrza go i denerwuje, a bynajmniej nie przyczynia się do rozwoju jego samorzutności — tego jedynego właściwego celu istnienia naszego na ziemi.

„Oby tylko człowiek — pisze ks. Klepacz w zakończeniu — nie zmarnował tej nauki, jakiej mu udzieliła historia i teraźniejszość".

Cz. J.-K.

Wronskiana

W przechowywanych w Centralnej Bibliotece Wojskowej w Warszawie zbiorach Rapperswilskich znajduje się korespondencja (w 36 tomach) Krystyna Józefa hr. Ostrowskiego (1811 — 1882), oficera wojsk z r. 1831, poety i publicysty na emigracji. W korespondencji tej znajdują się trzy listy Leonarda Niedźwieckiego (1811 — 1892), ucznia i wielbiciela Hoene - Wrońskiego: I. list pisany w dniu śmierci mistrza (w t. XIII), II. z okazji wydania „Apodictique" (w t. XXVII) i III. — z okazji wydania „Nomothétique" (w t. XXX); ten ostatni list w formie notatki, bez podpisu.

I. Paris, Rue St. - Louis - en - l'île, 2.
9-go sierpnia 1853
Wtorek.

Szanowny Panie Krystynie.

Donoszę ze smutkiem o śmierci genialnego Ziomka naszego Hoënego-Wrońskiego. Mają go pochować w Neuilly, we czwartek przyszły. Słuszna byłaby, gdybyś w tym pogrzebie wziął udział, i może przemówił nad grobem. Stanowisko, jakie zajmujesz między cudzoziemcami i u swoich, dawałoby Ci do tego niezaprzeczone prawo. Spojrzyj na ogrom niepomierzony dzieł jego, jego, urodzonego w Polsce, a więc Rodaka naszego! — a między niemi na dzieło, które Cię, panie Krystynie, najmocniej obchodzić będzie, boś się sam dotknął tego przedmiotu w piśmie niedawno rozbieranem w J o u r n a l d e s D é b a t s, jako to Philosophie de l'Histoire, gdzie mowa o Reformie politycznej Napoleona i o p r z e w o d n i c t w i e P o l a k ó w wśród Słowian.

Załączam Ci tu dziełeczko, które jam był wydał swojego czasu o Wrońskim. Znajdziesz w niem na początku nieco szczegółów biograficznych.

„W pomysłach do dziejów polskich" jenerała Paszkowskiego, w opisie obrony Warszawy przed Prusakami, przed bitwą pod Maciejowicami, na stronie 90 i którejś jest wzmianka o odznaczeniu się w a r t y l e r i i Wrońskiego. Miał wtedy lat szesnaście czy osiemnaście!!

Jako artylerzysta, więc i uczony, winieneś mu nieco słów swoich. Myśl o tem z łaski swojej.

Pozdrawiam i kłaniam się
sługa życzliwy
Leonard Niedźwiecki

II. Paris, Quai d'Orléans, 6.
24 lipca 1878.

Panie Krystynie Dobrodzieju,

kończy się druk dzieła zapowiedzianego w okólniku, który załączam.

Nigdy nie zapomnę pięknej i trafnej mowy, którąś powiedział, Panie Krystynie, nad grobem Wrońskiego. Dożyliśmy, że sprawiedliwość zaczyna wschodzić dla niego: w Cambridge Profesor Cayley, profesor matematyki, ogłosił, że sprawdził formułę Wrońskiego, którą sześćdziesiąt lat temu przedtem Instytut francuski był odrzucił, i p a m i ę t n i k n a u k ś c i s ł y c h p. Działyńskiego podał tę pracę w tłómaczeniu.

Tego roku pan Yvon Villarceau, astronom i m e m b r e d e l'I n s t i t u t, który po śmierci Leverrier'a pełnił służbę jego w obserwatorium aż do obioru następcy, wystąpił przed INSTYTUTEM z inną formułą Wrońskiego, formułą astronomiczną od p i ę ć d z i e s i ę c i u lat spoczywającą w dziełach Wrońskiego, a dla astronomów jak najważniejszą, p r z e d I n s t y t u t e m! tak że spodziewać się należy, iż z Instytutu teraz wyjść może zachęta, ażeby nakoniec poddać się Wrońskiemu.

Chciej, proszę, zobaczyć, czy nie wypada, ażeby nazwisko Twoje znajdowało się między prenumeratorami na dzieło wychodzące, prawie już skończone. Lista obejmuje nie mało imion bardzo świetnych, ale nie wiem, czyje byłoby właściwsze nad Twoje, Panie Krystynie.

Przyjaciel i sługa
Leonard Niedźwiecki.

(Krótkie streszczenie przemówienia K. Ostrowskiego podaje P. Chomicz w swej pracy: „Hoene - Wroński w Polsce i za granicą". — Red.).

III. Panna Conseillant, f i l l e a d o p t i v e Wrońskiego, która już kilka dzieł Wrońskiego wydrukowała z rękopisów jego, ma wydać niedługo nowe, na które zbiera subskrypcję.

Tytuł dzieła:

Lois suprêmes du Monde. (Développements de l'Apodictique, dzieła już wydrukowanego). Cena: franków dwadzieścia.

Książki nadesłane

Juliusz Znaniecki: Michał. Powieść nagrodzona na jubileuszowym konkursie Księg. św. Wojciecha. Poznań 1938. Str. 500.

Zofia Bohdanowiczowa: Droga do Daugiel. Powieść nagrodzona na jubileuszowym konkursie Księg. św. Wojciecha. Str. 296. Poznań 1938.

Polska idea imperialna. Oprac. przez Zespół „Polityki". Warszawa 1938. Wyd. „Polityki". Str. 86.

Przegląd filozoficzny, r. 41, z. II. Treść: A. Zieleńczyk: Marian Borowski: S. Czajkowski: Główne tendencje systemu Malebranche'a; I. M. Bocheński O. P.: Powszechniki jako treść cech w filozofii św. Tomasza z Akwinu; S. I. Witkiewicz: O protagorejskim typie umysłowości; B. Gawecki: O realiźmie krytycznym; S. Baley: Karol Stumpf.

Redakcja i Adm. Warszawa, Wilcza 65 m. 1. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
Prenumerata: półroczna 2,50 zł., roczna 5 zł. P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210
Zakł. Graf. „DŹWIGNIA", Warszawa, Widok 24, tel. 665-39.